Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Wśród zagajników w Nieporęcie. Z wigilijnego polowania w Jabłonnie. Fot. K. Kamieński.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 3 (815) 20 STYCZNIA 1936 R.



W mróz. Z serji, nagrodzonej II nagrodą i złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. Wł. Wysocki.

MIKOŁAJ HUSSOWJAN — PIEWCA ŻUBRA.

(W 400 ROCZNICĘ ZGONU POETY).

(Ciąg dalszy).

Zgodnie z planem, zakreślonym przez autora, następuje opis — De feritate et venatione bisontis, t. j. dzikości żubra i polowań nań.

W Polsce, powiada autor, trzymamy się takiej zasady: ponieważ żubra nie da się położyć pociskiem z dalszej odległości, a również wziąć go podstępem, cała walka polega na sile i zręczności ludzi, sięgającej niekiedy szczytu. Jest nawet w zwyczaju, że opuszcza lasy ten z łowczych, kto w ręcznych zapasach nie pokonał żubra. Ze ściętych drzew budują olbrzymią zagrodę, która zawiera zamknięte wewnątrz zwierzęta. Obwód takiej zagrody wynosi zwykle do 12 i więcej włoskich mil. Wreszcie, rozstawiwszy straże, szczelnie zamyka się wyjścia. Niezawsze jednak budowano nowe zagrody. Pozostawiano również stare zasieki; w licznych miejscach stoją one otworem, aby zwierzęta łatwiej mogły wejść i aby można je było zamknąć, pozostawiając na żyznem pastwisku. Zamknięci wewnątrz myśliwi polują na osaczone w tej zagrodzie zwierzęta. Tu, w głębi zasieki, człowiek już nie może podać żadnej pomocy drugiemu, sługa nie podąży za panem, ojciec nie poświęca uwagi synowi, ani syn obliczu ojca: każdy ma do wykonania swe własne zadania, bo każdy może zachować, ale i stracić swe życie. Najmniejszy błąd może mieć wielkie znaczenie. Ostrem zarządzeniem zastrzega się, co należy czynić, a wymienienie kary nagina ludzi do wykonania nakazu. Jedno zbawienie i opoka pozostaje dla myśliwych — to szybki koń, zdolny do błyskawicznych ruchów. Z myśliwymi narówni mkną na niebezpieczeństwa waleczni królowie, bo nikt nie chce uledz zarzutowi tchórzostwa.

Po niewielkiej dygresji, skierowanej ku osobie króla Zygmunta, autor dalej kreśli przed czytelnikiem walkę z żubrem, zastrzegłszy sobie możność podania zamiast syntezy — jednego przykładu, który starczy za wszystkie. Otóż myśliwi najpierw starają się zranić zwierzę lekkiemi strzałami. Sterczą na grzbiecie puszczone strzały. Zionąc przeraźliwym rykiem z drżących nozdrzy, spogląda na swych wrogów okrutny zwierz. Wreszcie, obróciwszy się, szybkim biegiem, w skokach pędzi zwierzę, szukając ratunku w ucieczce. Jeźdźcy, podniósłszy krzyk, gonią w ślad za zbiegiem. Echo krzyku bije w niebiosa. Lecz gdy w szalonej gonitwie dosięga miejsca, kędy zasieką ze zwalonej drzew masy przecina się droga, tam trwożliwy krzyk tłumu wstrzymuje oszalałego zwierza. Żubr zostaje odparty, wahając się, w którą ma rzucić się stronę. A tu puszczono znowu w zranione już miejsce syczącą strzałę, aby gniew, wybuchając, bardziej wzniecał szał w zwierzęciu. Zwierzę poddaje się szałowi. Ponurym wzrokiem ciężko spogląda na łowców, mierząc, którędy uderzyć na bardziej gęsty szyk. Pierwsze ciosy żubr zwykle kieruje na psy; mknie po broczącym krwią psim stosie na myśliwych. Młodzież myśliwska pierzcha w różne strony, kierując na bok konie. Od przeraźliwego krzyku drży wysoki las. Nikt nie śmie jednak pokładać nadziei na ucieczkę; jeżeli zwierz ściga biegnącego wprost przed sobą — bezpieczniej jest wówczas zemknąć ukośnie na stronę. Im

dalej, szał i szybki pościg wyczerpuje zwierzę, otoczone orszakiem licznych myśliwych. Pędząc przez strome wąwozy, w biegu, wskutek wydłużenia ciała, wydaje się znacznie większym, a głuchy pomruk towarzyszy mu. Okrutną grzywą miota po powietrzu i rozsiewa ją na obie strony. W tym stanie jest groźny, ogromny, okrutny *(Hac specie, turbida, grandis, atrox)*. Przez ślepe miejsca zasiek przeskakuje żubr, wirując dookoła w poszukiwaniu ofiary okrutnego gniewu. Ja się przyznaję, oświadcza dalej Hussowjan, że ze wszystkiego, co widziałem, nic nie wywarło na mnie większego wrażenia, jak żubr, co wszystko burzy w przerażającym galopie. Gdy nie natrafi, coby mógł rozszarpać, wchłania powietrze rozdętemi nozdrzami, doszukując się, czy czego nie zwęszy. W szale gniewu społem porywa wszystko, co żyje, posądzając każdego, że jest sprawcą zadanych mu ran. Cokolwiek chwyci, ciska do góry i kręci w powietrzu, łapiąc na swe rogi spadające członki czy łowcy, czy konia. Zmiażdżone od ustawicznych uderzeń wylatują one wysoko. Deszcz mięsny spada z góry i dreszcze na widok krwi przejmują człowieka. Ciało ludzkie tak zostaje zmieszane z końskiemi członkami, że z każdego sączy się obopólna krew*). Kruki po drzewach zbierają poszarpane ciało. Dokąd podąży żubr, za nim, swym żywicielem, kroczy wielki, żarłoczny, mięsożerny ród ptasi.

Ale oto nadjeżdżają icznie jeźdźcy w rozwartym szyku; złowrogim krzykiem i groźbą podniecają zwierzę. Wśród niebezpieczeństw, chociaż dostatecznie doń każdy przygotowany, niejeden ginie jeździec. Bo w rzeczy samej w otwartem polu łatwo jest rozwinąć bieg i drwić sobie z okrutnego zwierza. Inaczej się sprawa przedstawia w lasach. Dzieją się takie rzeczy: o leżące na ziemi zbutwiałe drzewo przewraca się koń, nieraz zdradzają jeźdźca wydrążone nory krecie, albo śliski lód, który śniegiem przyprószy zima; niezawsze szczęśliwie omijany konar drzewa, niekiedy opuszczony aż do ziemi — słowem śmierć czyha na niezliczonych ścieżkach... Kto upadł, koń czy jeździec, wnet go porywa zwierz i wysoko w powietrze wylatuje bezduszne ciało. Często, uniknąwszy jednej bestji, człowiek ginie od rogów nacierającego z drugiej strony zwierza. Tu autor poematu zadaje pytanie, czy takie polowanie nie zawiera, być może, w sobie nierozsądnego czynu. Taki zarzut mógłby pozostać nieodpartym, gdyby wątpliwości tej tezy nie rozwiał przykład tegoż niebezpiecznego łowiectwa, uprawianego przez wielkiego księcia Witołda Litewskiego. Albowiem Witołd, dzięki łowom na żubra, potrafił wyćwiczyć młodzież litewską na męskie, pełne odwagi, poświęcenia i hartu wojsko, które okryło sławą zarówno kraj, jak i jego ówczesnego wodza *).



Portret żubra. Fot. P. Poloczek.

Po tej dygresji o Witołdzie „nieumiarkowanie daleko, zdaje mi się, odbiegłem od mego żubra", powiada autor. Należy się zatrzymać, póki jeszcze ludzie przewlekłym krzykiem i pościgiem dręczą zmęczone zwierzę, a las odmienia wielką ilość różnorodnych głosów. Zwierzę, nareszcie jakby świadomie, zaczyna dążyć ku śmierci. Zapalczywość wyczerpała poszczególne jego członki i oblane potem zwierzę, głęboko dysząc, często rusza bokami, a gęsta piana opada mu już z całego ciała.

Jak pijany, zwierz plącze się na nogach, chyląc się to w tę, to w drugą stronę. Patrz, jak zwierzę szybko zbliża się do zagłady! Widocznie, że ma już dość uniesienia; jeźdźcy zsiadają i usuwają konie. Według zwyczaju młodzież, opasana jedynie mieczami, występuje do boju, aby zwierza zbliska rażonego żelazem położyć trupem. Wybierają drzewa i z odwagą godną podziwu, stają gotowi do zawziętej walki, owiani zamiłowaniem chwały. Wywijając lśniącym mieczem, jeden przed drugim wabi ku sobie czułym głosem strasznego zwierza. Szybciej od wiatru mknie żubr na upatrzonego wroga, który, cofnąwszy się wstecz, umyka zakryty drzewem. Zwierzę napada nań z największą zaciekłością i szarżą wielkiego napięcia; pomyślałbyś, zwierzę rozpaliło się i miota pioruny. Z drzewa spadają strącone gałęzie i odłamki. Wtedy nastaje chwila do wytężenia wszystkich sił do baczności; dla opieszałych tu niema miejsca.

Widziałem, jak w podobnym wypadku człowiek odważny i mężny zdębiał z przestrachu**). I gdyby los nie dał biedakowi pomocy, trafiłby w objęcia niechybnej śmierci. Rosła ogromna sosna o rozłożystych, mocnych konarach i cała lśniła od zwieszającego się zeń śniegu. Skoro za uderzeniem drzewa gałęzie poruszyły się i zadrżały konary, wstrząśnięty śnieg, opadając, utworzył w powietrzu obłok i, pokrywając aż do podnóża drzewo, osypał człowieka. Ten wnet odzyskał siły ducha i ciała i, pokryty obłokiem śniegu, błyskawicznie umknął. Koledzy głośno się roześmiali.

Przechodząc do sprawy wyboru drzewa, należy za-

---

*) Niektóre, zresztą nieliczne ustępy z charakterystyki żubra opuszczono, by uniknąć powtarzania obrazu dzikości zwierza. *(Przyp. aut.)*.

*) Tak to dawniej polowali! Zwierza była mnogość wielka, a że naonczas i strzelby nie takie były, jak dzisiaj, pełne te łowy były niebezpieczeństwa. Hartował się więc człowiek, aby później w każdej potrzebie bronić swego kraju, gdyż nie mogło być tchórzów między ludźmi puszczy. Łowiec Polski Nr. 4 rok 1935. „Łowiectwo na Polesiu" K. ks. Radziwiłła. *(Przyp. aut.)*.

**) W innem miejscu autor opowiada o wypadku, kiedy młody człowiek z bogatej rodziny wyjednał sobie pozwolenie na polowaniu, by zamiast oszczepu korzystać z broni palnej „bombardy". Żubr wypadł nieoczekiwanie na myśliwca, ten jednak tak przeraził się widokiem zwierza, że, nie oddawszy strzału, nagle skonał pod drzewem widocznie na atak sercowy. *(Przyp. aut.)*.

znaczyć, że ilekroć dąb jest rażony silnem uderzeniem rogów, tylekroć więzi on je w swem objęciu, a więc, żeby samo drzewo tkwiło silnie korzeniami, trzeba, by miało pod sobą pokład żyznej ziemi. Albowiem jeżeliby ktoś zaufał drzewu, rosnącemu na suchych piaskach, łatwoby doznał zawodu, bo zginąłby od samego upadku drzewa. Toteż gdy go nie może obalić gwałtowna podczas burzy siła wiatru, drzewo pada pod ciosami rogów zwierza. Godne podziwu zwierzę sili się przewrócić drzewną gromadę i z rykiem toczy dookoła swe straszne cielsko. Szał zasłania wzrok, zaćmiewa rozum: zwierz sądzi, że na łbie ma już ciało człowieka. Wówczas nie sposób ci rozpoznać ani uwijającego się człowieka, ani zwierzęcia; na wyrytem miejscu unosi się słup czarnego kurzu *). Do drzewa, w którem utyka rogami zwierzę, tuli się myśliwy, szczelnie wciąż przylegając korpusem do niego, by zwierz nie porwał myśliwca, o ileby cośkolwiek uchylił się od drzewa.

Równomiernie dookoła drzewa wirują raptownie w różnych podskokach tu myśliwiec, tam zwierzę. Ten kieruje mieczem, wbitym w porażone cielsko, a ów walczy ozorem, niczem mieczem, którym, gdyby, wywaliwszy głęboko, mógł chwycić za odzież, skończone: porwany w mig ginie *). Ale żeby nie ominąć doświadczeń walki językiem, żubr na nią szykuje swe nogi do szybkich ruchów. Bo żadna strzała, która przeszywa korpus zwierzęcia, nie może go szybciej położyć, niż zadana w nogę rana, która powoduje unieruchomienie rozchwianych członków. Doświadczony myśliwy po gwałtownym ruchu przewiduje wszystko, co zwierz uczyni i czego należy unikać, o ile biedaka nie spali przedtem tak gwałtownym oddechem, że żar jego niewiele się różni od rzeczywistego ognia, a więc o ile natychmiast myśliwy szybko nie przetnie nawskroś serca, zostaje pokonany, bo zginie od samego oddechu **). Na to tylko czekają koledzy: by długo nie walczył, inny głos go stamtąd odwołuje. Ale junacy znanym sposobem rozcinają błonę sercową, ażeby, raz zatopiwszy miecz, skończyć uciążliwą walkę. Zagrały rogi myśliwskie. Nad nieudolnymi uczestnikami śmieją się koledzy. Po wielkim trudzie leży jednak pokonane już bez życia zwierzę. Tak ginie najstraszniejszy mieszkaniec północnej puszczy.

(Dok. nast.).

JÓZEF STANISŁAWSKI.

*) Zaledwie 400 lat minęło od opisanej sceny, a jaka różnica zaszła co do ryzyka na polowaniu. Jakże dalecy od męstwa są ci nasi bohaterowie kancelaryj, tak dobrze znani myśliwym, co to wciąż w polu opowiadają o niebezpieczeństwach na wojnie, o swej waleczności, a panicznie się boją, by śrucina naboju kuropatwiego nie utkwiła przypadkiem w ich delikatnem ciele. *(Przyp. aut.)*.

**) Oddech palący żubra przypomina całkowicie dzika z lasandra zajętej na polowaniu przez damy dworu, które omal że nie zginęły od rogów rozjuszonego żubra, gdyż tu zwabiły go bezwątpienia jaskrawe kolory sukien. *(Przyp. aut.)*.

*) Oddech palący żubra przypomina całkowicie dzika z lasów kaledońskich (Meleager Ovidii Nasonis). *(Przyp. aut.)*.

O JĘZYKU MYŚLIWSKIM I „BARDZO KULTURALNYCH“ MYŚLIWYCH.

Artykuł p. Pawlikowskiego w Nr. 34 „Łow. Pol." przypomniał mi artykuły p. J. Wł. Kobylańskiego z początku roku ubiegłego, które z wielką satysfakcją czytałem. Obaj autorzy reprezentują krańcowo odmienne zapatrywania. Pan Kobylański pławi się formalnie z rozkoszą w bogactwie i subtelnościach naszego pięknego języka łowieckiego. Pan M. K. Pawlikowski natomiast pisze, że bardzo kulturalni, jego zdaniem, myśliwi unikają języka myśliwskiego, trącącego rzekomo pretensjonalnością, a nawet kabotynizmem (?!).

Jako pomorzanin, którego rodzina zamieszkiwała Pomorze setki lat, rosłem w cieniu łowieckich tradycyj niemieckich i wielkiej ich czci dla swojego języka myśliwskiego, który znam dość dobrze. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego Niemcy, naród praktyczny, stworzyli język myśliwski tak wielce odbiegający od potocznej ich mowy, i wymagający pilnych studjów, by go opanować. Czytywałem skrupulatnie „Wielkopolskiego Łowca" i skrzętnie zapamiętałem sobie polskie terminy łowieckie. Myśliwych wypytywałem przy każdej okazji o określenia myśliwskie i pamiętam doskonale, jak, będąc młodym gimnazistą, uzyskałem terminologję łowiecką zająca od mojego wuja, ś. p. Bolesława Domarackiego, gorliwego patrjoty i zamiłowanego myśliwego i jak mnie zafrapowały określenia: słuchy, skoki, turzyca, osmyk, strugi...

Stałem się miłośnikiem języka myśliwskiego.

Pan Pawlikowski zastanawia się nad tem, czy język myśliwski jest językiem, czy gwarą? Jest to oczywiście zagadnienie akademickie, ściśle teoretyczne. Otóż niema dla mnie wątpliwości, że jest językiem, narówni z językiem medycznym, prawniczym, technicznym, górniczym i t. p., które to zawody z konieczności stworzyły sobie terminologję fachową, stale się rozwijającą w miarę potrzeby. Słownik języka polskiego Karłowicza i Kryńskiego słusznie tłomaczy gwarę, jako narzecze lub djalekt i podaje jako wzór gwarę (lub djalekt), góralską, śląską, zakopiańską. Niema wątpliwości, że język myśliwski nie jest djalektem.

Artykuły p. J. W. Kobylańskiego podają nam długi szereg autorów, którzy zajmowali się zagadnieniami naszego języka myśliwskiego. Zebrali obfite materjały, poczynania ich jednakże nie osiągnęły, niestety, celu: u s t a l e n i a p o l s k i e j t e r m i n o l o g j i ł o w i e c k i e j.



Daniel i jeleń M. hr. Potockiego w Schorfheide.

Pan J. W. Kobylański apoteozuje nasz piękny język myśliwski, zo co winniśmy mu być serdecznie wdzięczni. Pan M. K. Pawlikowski natomiast, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, gdyż wiem, że ma opinję wybitnego i zamiłowanego myśliwego, twierdzi, że kulturalny myśliwy może używać określeń „krew", zamiast farba i posoka, „nogi" zamiast skoki, cewki czy badyle, „uszy" zamiast słuchy i łyżki. Ma więc jego zdaniem prawo mówić: „Pojechałem strzelać dzikie świnie, gdy się parzyły. Zastrzeliłem knura i prosiaka. Wieprz miał duże kły. Strzeliłem go w płuco i upadł na miejscu. Prosiaka strzeliłem w ryj i idąc jego śladem, po-

mimo, że nie było śniegu, odnalazłem go, gdyż krwawił obficie i dobiłem go. Bojąc się, by mięso nie zaśmiardło się (*excuses le mot*), oprawiłem obie świnie na miejscu".

Tak może mówić tylko barbarzyńca. Natomiast myśliwy mówi: „Polowałem na dziki w czasie huczki. Ubiłem odyńca, który miał kapitalne szable i wycinka. Odyniec dostał strzał na komorę i legł w ogniu. Wycinka trafiłem fatalnie w gwizd. Idąc po tropie, mimo czarnej stopy, doszedłem go, dzięki temu, że broczył obficie posoką i dostrzeliłem go. Nie chcąc, by dziczyzna się zepsuła, wypatroszyłem sztuki na miejscu".



Wyciąganie odyńca z miotu. Z serji, nagrodzonej I nagrodą i złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego".
Fot. W. Puchalski.

Czyż dwa zdania te nie uzmysławiają nam jaskrawo konsekwencji stanowiska p. M. K. Pawlikowskiego! Tendencjom tym trzeba się jak najenergiczniej przeciwstawić i nie dopuścić w żadnym razie do takiej barbaryzacji naszych obyczajów myśliwskich. To, że myśliwi z kresów północno - wschodnich nie znają rzekomo tak pospolitego określenia, jak parostki, to jeszcze żaden dla mnie argument, jeżeli wziąć pod uwagę niechęć ich, jak pisze p. P., do języka myśliwskiego. Myśliwi nasi przytem nietylko nie znają języka swojego, ale i wielu innych ważnych dziedzin myśliwskich. Który z naszych myśliwych zna prócz kalibru swojej broni kulowej (i to niedokładnie, gdyż mówi zwykle, że ma sztucer 8 lub 9.3 mm, — a winien mówić 8 × 57 lub 8 × 60; 9.3 × 72 lub 9.3 × 74. Wtajemniczeni wiedzą, że różnica nabojów tego samego kalibru jest bardzo duża; 8 × 57 i 9.3 × 72 to średnie naboje na kozła, 8 × 60 i 9.3 × 74 to naboje na dziki, lwy, tygrysy), zawartość prochu swojego naboju i wagę pocisku, — nie mówiąc już o jego szybkości i ciśnieniu w lufie? Te sprawy natomiast doskonale zna myśliwy niemiecki, bo czasopisma jego są pełne artykułów o sprawach balistycznych. U nas jest, niestety, inaczej...

Obserwujemy dziwny napozór objaw, że język nasz (narówni z innemi), posiada kilka określeń na oznaczenie tej samej rzeczy. Na określenie śniegu np. znam osiem nazw (a jest ich z pewnością więcej): śnieg, sadź, okiść, nów, ponowa, szreń, puch, kurniawa, gips (ostatnie cztery używane w języku narciarskim). Przypatrzywszy się tym nazwom dokładniej, widzimy, że każda ma swoje specjalne znaczenie i dzięki nim możemy cieniować. Obfitość takich synonimów stanowi bogactwo każdego języka.

Podobnie jest z językiem myśliwskim. P. Pawlikowski pisze, że parostki, korona, rosochy są dla niego rogami. Mojem zdaniem rogi ma krowa, koza i kozica. Kozioł ma natomiast parostki, jeleń wieńce, a łoś rosochy. Wiemy, że kozioł, jeleń i łoś zrzucają corocznie swoją ozdobę głowy, która tworzy się z substancji kostnej i nie jest rogiem. Kita, kielnia, czy plusk i osmyk mają także oczywiście swoje uzasadnienie. Powiedzenie ogon lisa, wilka, bobra lub zająca brzmi niesłychanie trywialnie, a każde z tych określeń jest trafne i nie wymaga objaśnień, a co najważniejsze stanowi o poetyczności (co p. Pawlikowski specjalnie podkreśla) naszego języka myśliwskiego.

Przed szeregiem dni otrzymałem jednodniówkę wileńskich myśliwych: „Myślistwo Wschodnie" z artykułem p. Pawlikowskiego p. t. „Poezja niefortunnych łowów". W artykule tym ubity głuszec ma wachlarz, łoś sunie i ma rosochy lub łopaty, wychodzącego z ostępu łosia strzela autor na komorę. Pan Staroniewicz rozdaje natomiast rogi, skórę i mięso łosia, który przeszedł, a p. Cybulski mówi o rogach, pozatem łoś ma nogi. Widzimy, że artykuł ten pod względem językowym jest napisany tak, jak większość artykułów w naszych czasopismach łowieckich.

Co więc trzeba robić? T r z e b a p r z e d e w s z y s t k i e m u s t a l i ć i o g ł o s i ć o b o w i ą z u j ą c ą ś w i a t t e r m i n o l o g j ę ł o w i e c k ą.

Pracę tę można wykonać wygodnie w przeciągu roku. Należałoby zwołać komisję, złożoną z 12—18 osób, któraby ustaliła terminologję głównej zwierzyny łownej, kniei, łowów samych i t. p. Nie trzeba oczywiście przesadzać. Archaizmów nie warto wskrzeszać, gdyż nie utrzymają się. Trzeba stworzyć język do potrzeb codziennych myśliwego. Osobiście wolę, by raczej przesolono, aniżeli niedosolono. Wynik pracy komisji winien być ogłoszony w czasopismach łowieckich celem zgłoszenia uwag przez świat myśliwski. W 4—6 miesięcy po ogłoszeniu propozycji i po wyczerpaniu dyskusji, winien się zebrać większy zespół, złożony z naszych władz łowieckich i komisji i ogłosić projekt, jako obowiązującą terminologję łowiecką, wydając ją oczywiście drukiem. Myśliwi posiedliby język łowiecki w formie ustalonej w krótkim czasie, gdyż przeważnie go znają.

Po ogłoszeniu terminologji czasopisma łowieckie winny ściśle przestrzegać języka myśliwskiego i poprawiać rękopisy bez ceremonji.

Dzisiaj jest tak, że myśliwi używają określeń myśliwskich, błądząc często i obficie. Jest przeto przemiły bałagan i nikt w istocie nie wie, jak mówić należy.

Następnie trzeba się natychmiast zabrać do stworzenia słownika myśliwskiego. Jest to oczywiście przedsięwzięcie obliczone na wiele lat i powinno być realizowane etapami. Jak cel ten osiągnąć, to powinni zdecydować nasi kierownicy spraw łowieckich z kooptowanymi miłośnikami sprawy i fachowi lingwiści, którzy nam z pewnością pomocy nie odmówią. Zadanie to jest niełatwe i wymaga zamiłowania, wytrwałości i dużej pilności. Fundusze muszą się znaleźć.*) Sam deklaruję na początek 100 zł. na fundusz słownika języka myśliwskiego i apeluję gorąco do braci myśliwych, którym sprawa ta jest droga, a takich jest dużo w Polsce, do poparcia akcji słownika.

Należałoby założyć w „Łowcu Polskim" specjalny dział terminologji, gdzieby się ogłaszało przyczynki, nadsyłane przez myśliwych i omawiało sprawy terminologji łowieckiej. Możeby się tym działem zechciał

*) Poruszona sprawa była omawianą na kilku posiedzeniach Komitetu Red. „Łow. Pol." i stosowna Komisja została już wyłoniona. *(Przyp. red.)*.

zając p. J. W. Kobylański, w którego rękach sprawa ta byłaby dobrze ulokowana.

Po przykładzie moim widzimy, co nam grozi ze strony „bardzo kulturalnych" myśliwych p. M. K. Pawlikowskiego. Trzeba dzwonić na alarm! Piękny jest nasz język, lecz obchodzi się z nim po barbarzyńsku nasza biurokracja i rodacy, nieumiejący uszanować go, ani umiłować tak, jak np. Francuzi, którzy, rozmawiając, rozkoszują się formalnie pięknością swojego języka i modulują go na rozmaite sposoby. Otóż w łonie naszym są ludzie, a przewodzi im myśliwy z opinją, którzy lekceważą tradycję myśliwską i pogrążyć chcą to, co stworzyły wieki polskiej kultury łowieckiej. Niema dość silnego określenia na potępienie takiego szkodnictwa.

Od trzydziestu blisko lat czytuję stale niemieckie czasopisma łowieckie. Wiemy, że pod względem kultury myśliwskiej Niemcy stoją bardzo wysoko. Niema wątpliwości dla mnie, że wystąpienie w rodzaju p. Pawlikowskiego byłoby tam nie do pomyślenia, bo Niemcy rozumieją potrzebę i piękno swojego języka myśliwskiego i pielęgnują go jak najpieczołowiciej. Kiedyż będzie u nas taksamo?

STANISŁAW HOPPE.

POGAWĘDKA O KRÓLU.

Nie o Pomazańcu Bożym chciałbym pogawędzić. Broń Boże. Nie o pikowym, czy karowym królu. Także nie o jednookim, co to był między ślepymi. Nawet nie o „królu" czworonogu zwinnym i chytrym, ani też o królu kurkowym. Ale mam na myśli takiego, o którym nieraz w sprawozdaniach z polowań czytamy: „Królestwo dnia dzisiejszego wystrzelał sobie"...*) Czasem jest to król o siedmiu czy jedenastu zajączkach, mizerny, jak królowie - bohaterowie, opiewani przez Homera; czasem jest to potentat, pełen blasku i majestatu, o cyfrach trójliczbowych, nawet od trójki się zaczynających.

Kanclerz Zamoyski w pamiętnej swej mowie sejmowej powiedział: *electores regum sumus*, ale zaraz dodał: *et destructores tyrannorum*. Otóż tym destruktorem chciałbym być dzisiaj. Bynajmniej nie przez niemoc, ani przez zazdrość, ale, zachęcony przez licznych kochanych towarzyszy myśliwych, pragnę zastanowić się, czy ogłaszanie króla polowania jest potrzebne, czy przynosi jakąś korzyść myślistwu, czy też wręcz przeciwnie? Czy na skutek ubiegania się o koronę królewską nie cierpi poważnie i boleśnie zwierzyna? A skutkiem irytacji, czy nie cierpią wątroby towarzyszy-myśliwych, którym przypada zaszczyt sąsiadowania z „majestatem"? Czy wogóle nie psują się przez to powoli i systematycznie dawne dobre obyczaje myśliwskie? Nowoczesny król polowania ma nieraz cechy jakiegoś z zamierzchłej epoki tyrana. Niejeden gospodarz polowania mógłby nam o tem coś powiedzieć.

Zdaje mi się, że zwyczaj mianowania królem polowania myśliwego, mającego najwięcej sztuk na rozkładzie, przyszedł do nas od sąsiadów, Niemców. Zwyczaj ten rozpowszechniony jest najbardziej w Poznańskiem, znacznie mniej w innych dzielnicach Polski, a już najmniej w Małopolsce i na Kresach.

Oczywiście rozmaici są królowie. Ale my zajmijmy się bliżej królem, który, częstem powodzeniem upojony, coraz to większej sławy żądny, umieścił z biegiem czasu u spodu swej tarczy myśliwskiej szumną dewizę: *Corriger la Fortune* i spędźmy z nim jeden dzień na polowaniu. Nazywamy go już królem. Napewno nim dziś zostanie. Inaczej odchorowałby to niechybnie.

Dzień zaczyna się kotłem. Król jest dziś zatroskany i pełen niepokoju, albowiem wśród grona myśliwych znajdują się szczególnie niebezpieczni współzawodnicy, tak zwane „brzytwy". Trąbka. Zaczynamy. Pomykają zające — daleko — za daleko. Ale jeden z nich defiluje wzdłuż naganki na jakieś sto, lub więcej kroków. Nagle, gdy znalazł się naprzeciw jego królewskiej mości — gorąca kanonada. Grzmi strzał jeden po drugim, biedny zajączek obrywa za każdym strzałem po jednej śrucinie, wreszcie po piątym czy szóstym strzale, unieruchomiony, obolały, z pogruchotanemi skokami, czeka pokornie, aż go naganiacze kijami domęczą. Król ma jedną sztukę więcej, a unieruchomionego już nie dobijał, gdyż oszczędza teraz naboje, szafowane przed chwilą z takim zapałem na zbyt odległą metę. W podobny sposób zdobywa jeszcze kilka sztuk. Wtem nagła zmiana. Król widocznie już się zmęczył, do defilatorów już nie podbiega, idzie coraz wolniej. Sąsiad z prawa, sąsiad z lewa do ochrypnięcia wołają—ryczą: „naprzód, naprzód, środek naprzód!!!... Nadaremnie. Król głuchy, czy też — siły go opuściły. I tworzy się gruszka. I w tę gruszkę wsypuje się, jak w lej jaki, wszystko, co jeszcze biega po kotle, zdrowe czy kulawe. I wszystko to pracowicie król wyzbierał.



Grupa myśliwych na tle pokotu bażantów w maj. Łubno pp. Żakowskich.

Po kotle mamy pędzenie na bażanty. Tu inna taktyka. Przedewszystkiem zbieracze zwierzyny od przyniesionej każdej sztuki są teraz płaceni, a nawet czasem, gdy król bardzo w ten dzień zachłanny, lub gdy rywale bardzo niebezpieczni, to i zbieracze sąsiadów są przekupieni. Król jest chmurny, a nawet zlekka obrażony. Zna przecież ten rewir doskonale i wie, że nie tak dobre stanowisko mu wyznaczono. Trudno. Jakoś trzeba sobie radzić. Strzela się tylko koguty. On jednak zabił już dwie kury — za co uśmiechającego się kwaśno gospodarza później uprzejmie przeprosi. Zabił także i jednego koguta „infanterzystę". Bez świadka — sąsiad zajęty był strzałami. Król pracuje. Strzela szybko swoje i nieswoje, często przed sąsiadem, często nad głową sąsiada i w rezultacie pilni, dzielni chłopcy naznosili mu całą kupę ptactwa, a także i czarnego jak smoła królika, którego ani nie strzelał, ani nawet nie widział.

Po bażantach przenosimy się z powrotem na pola. Kuropatwy pędzone. Król dostał stanowisko na skrzydle — ma się posuwać o kilkadziesiąt kroków przed naganką. Król szybkie ma postanowienia. Wsunął się między naganiaczy, idzie z nimi ławą i obfite a łatwe zbiera żniwo wśród kur, rwących się z buraków, czy z zielonych poplonów. Kury, mądrale, strzałami płoszone, wzbijają się wysoko w górę i przed linją strzelców zdala już wynoszą się na boki. Król, gdy jest daleko na skrzydle, to czasem i do cieknących brózdą kuropatw wygarnie... U naganiaczy strzał taki zawsze jest oceniany, jako szczególnie pomyślny.

I tak dalej — pracowicie i mozolnie, aż do zmroku. A potem wieczorem jak mile brzmią dlań słowa gospodarza: „Królem jesteś dzisiejszego polowania".

ADAM STARZEŃSKI.

*) Redakcja „Łowca Polskiego" dawno już usuwa podobne zwroty ze sprawozdań z polowań. *(Przyp. red.)*.

NA MRÓZ POTRZEBNE JEST FUTRO RYSIE.

Zgasło czerwono pomarańczowe niebo w błękitną szarość i mroźna mgławica podniosła się z pól, że zniknęły okalające wieś lasy i jedynie tylko śniegi, pokryte tajemniczym fioletem, zdają się ciągnąć aż w niebo. Po dniu w ciągłym ruchu na mrozie nęcą wnętrza chat światłami, które gorącą smugą kładą się po śniegu. Mijamy szkołę, chatę Stankiewicza, już moje mieszkanie. Wbiega do niego pędem Fania, by szykować obiad.

W pierwszej izbie, w której palą się wesoło w ogromnym piecu do wypieku chleba szczapy, siedzi gromada ludzi. To zwyczajna sąsiedzka wizyta. W długie zimowe wieczory niema co w domu robić, a że jest okazja dowiedzieć się czegoś ze świata, więc gospodarze zachodzą do mnie. Fania bardzo jest z tego dumna. Ot, taki ważny gospodarz, jak sam Bandaryk, mądry na całą okolicę, a słucha pilnie, co nasz pan mówi. Teraz po puszczy idą ważne sprawy.



Do następnego miotu. Fot. M. Lissowski.

Główny zarobek, to praca w niej, a o nią właśnie spór idzie. Będzie żydowska, czy pańska? Będzie wyrąb i zwózka tej zimy? To pytania, które zaprzątają wszystkie umysły. Siedzi także dwóch gajowych, ich to najbliżej dotyczy. Może jutro przyjdzie wieść i zamiast być stróżami tych lasów, ktoś drugi zabroni im wstępu do nich. Niepłatni też są od szeregu miesięcy i próżny może być trud po mroźnych nocach wypatrywania złodziei leśnych, może tych, co staną się prawomocnymi ich opiekunami. Ale o tem wszystkiem mówi się nieśmiało, jakby nie chciało się sprowadzić nieszczęścia.

Główny temat to polowanie. Jak dobrze poddać się nastrojowi, w którym każda drobnostka nabiera szczególnego znaczenia. Słowa się ważą. Każdy chce okazać swoją znajomość puszczy i jej mieszkańców .Więc rozmaite są zdania i projekty. Gdzie wilki można wabić, jakby urządzić zasadzkę, by do padła podeszły. „Jeżeli pan tylko zostanie, wszystko się zrobi, zwiera w puszczy jest dość". Chciałbym jutro rysia otropić. Tu już wszyscy się zgadzają, że rysie trzymają się najwięcej od strony Żórawowszczyzny w łozach, które ciągną się tam na wielkiej przestrzeni. Skądby tylko psa dostać? Jeden z gajowych wie, że obok w puszczy belmonckiej jest gospodarz, który ma dobrego gończego. Podejmuje się jechać po niego. Ktoś drugi rzuca myśl, by sprowadzić samego Onufjewa, starowiera, co siedzi zaraz za Żórawowszczyzną, sławnego kłusownika na całą okolicę. Ten i psy ma i nikt tak jak on rysia nie umie utropić.

— A gdyby się tak do niego wybrać teraz wieczorem?

— Jak pańska chęć, to możnaby — odzywa się Stankiewicz. — Konia tylko zamienię i pojedziemy.

— No to Fania spiesz się z obiadem. A może ciebie tam posłać, ty starowierka, najprędzej coś wskórasz. Co pojedziesz?

— Nie pojadę — mówi Fania — ktoby kolację ugotował.

Śmieją się wszyscy. Obiad, to zupa mleczna i jajecznica. Dla Stankiewicza pływają w niej ogromne kawały słoniny: inaczej gościa przyjmować nie można. Znalazł się i kieliszek wódki.

— No, panie Stankiewicz, to jedziemy.

— Jak trzeba, to i już.

I Stankiewicz raźno wychodzi.

— Miejsca to pan nie usiedzi — dziwi się stary Bandaryk. — Niema to jak przy piecu w taki mróz.

Lecz drudzy słusznie rozumieją, że jeżeli pan z miasta do puszczy przyjechał, to chce z niej korzystać. Lecz wątpią w skuteczność wyprawy. Stary Dymitr nie pójdzie. Sam to on jeszcze przed świtem chyłkiem w puszczę zapadnie i ślady będzie tropić. Toć przecież ponowa, sam czas. Radzą, bym brał wódkę, może się na nią złakomić czasami.

Wychodzę przed chatę, trzeba zobaczyć, jaka będzie pogoda. Ulice wsi przerzynają coraz węższe i bledsze światła. Dachy połamaną linją niewyraźnie szarzeją śniegiem na czarnem, roziskrzonem niebie. Przeszła obok sylwetka, zapaliły się przez chwilę w smudze światła kożuch i białe płócienne spodnie. Znowu dalej mignęły. Chciałoby się pójść w tę noc bez celu, bez żadnych pragnień, korzystać tylko z ciszy i z czegoś, co wiąże tę puszczę w zakryte przed naszą świadomością tajniki pierwotnej natury. Skrzypią gdzieś wrota. Pewno Stankiewicz konia wyprowadza.

Gospodarze opuszczają chatę, zatrzymuję jednego gajowego, który pojedzie z nami. Fania niepokoi się:

— Na taki mróz niedobrze jechać.

— Jak mróz, to rysie futro potrzebne, nie chcesz go mieć?

Ale Fania nie wie co to za futro, kożuch najlepszy.

Stankiewicz już zajechał, koń jego cały biały od szronu. Bo też i mróz tęgi: ze 25 albo i więcej stopni. Ruszamy. Jeszcze w sankach ciepło, ale płozy zgrzytają po śniegu, jak po szkle i głucho jakoś uderzają kopyta. Przez chwilę widać jeszcze światła we wsi i zaraz puszcza ogarnia nas w nieprzeniknioną ciemność. Po gwiazdach tylko widać kędy prowadzi wolny przejazd.

— To my tą samą drogą, panie Stankiewicz, jedziemy, co rano?

— A tą samą, tylko na gajówkę, nie trzeba nam skręcać, a prosto i prosto przez łąki.

Oto i polana. Jakże inaczej się wszystko nocą wydaje. Pełno wokoło tajemnic. Niewiadomo, czy to świerki taką ciemną tworzą masę, a ustawiony metr opału zdawał się stojącym przy drodze człowiekiem. Przechodzi się ze zdziwienia w zdziwienie. Zamajaczy przed twarzą gałąź świerku i posypią się zimne kryształy.

Jesteśmy już na łąkach, a ja spostrzegłem to dopiero po niebie, które teraz widoczne jest ze wszystkich stron. Chwilami poryw wiatru mrozi twarz.

Gajowy, który przysiadł z boku sań, co chwila zeskakuje z nich i biegnie.

— Panie Stankiewicz, a znacie Onufjewa?

— Mało przychodziło się z nim spotykać, ale sławę myśliwską to on ma, znawstwo i wielkie umiłowanie do tego. Te puszcze wokoło to jakby jego dom. Tak on rozumuje, że drzew tych niki nie sadził, ani zwierza nie chował. Boskie są i ludziom od Boga dane — mówi Stankiewicz.

Czyż można mu się dziwić? Ciągnie go od samego dziecka tajemnicza głębia drzew, otaczających jego chatę. Jak jej nie uledz? Jak nie zagłębić się w niej, nie poznać jej tajemnic. A kiedy nauczył się czytać w życiu puszczy, jak w księdze otwartej, jakże się tego wyrzec. Prędzej mu serce chyba z piersi wyrwać.

I ja zeskakuję z sań, bo nogi marzną nawet w wojłokach, taki mróz. Potem znowu jest ciepło w sankach. Długo i długo nic, tylko śniegi wokoło. Nareszcie wjeżdżamy w łozy. Panuje w nich ciemność nieprzenikniona, bo i na niebo zaszły chmury. Może gdzieś obok stanął zdziwiony tą nocną jazdą ryś, niewidoczny w śniegach bielak przerwał żerowanie, albo wilki, pewne swego bezpieczeństwa, stoją tuż, starając się nas odgadnąć.

Widać przed nami światło. Wjeżdżamy do Żórawowszczyzny. Wieś mroźną nocą, pod śniegiem, ze swemi jarzącemi oknami, w których czarno odcinają się sylwetki ludzkie, zdaje się przystanią po przebytem pustkowiu. Wchodzimy do chaty, by się trochę ogrzać. Już tylko stąd kilometr, więc zaraz ruszamy dalej.

Za wsią znowu puste śniegi — musi to być polana. Błysnęło przed nami światełko, zajeżdżamy przed onufjowy zaścianek. Psy z wściekłem szczekaniem opadają sanki, ani sposób wyjść z nich. Wołamy. Skrzypią przymarznięte drzwi i na ganku ciemnieje postać.

— Odwołaj swoje psy — złości się gajowy. — Pan przyjechał.

Zbliża się ku nam wysoki chłop i nieufnie nas ogląda.

— Co za pan?

— Odwołajcie wasze psy, przyjechałem do was, by zapolować.

— Ja to nie ochotnik, ale proszę do chaty ogrzać się. Przy mnie nic złego psy nie zrobią. Proszę iść śmiało.

Wchodzimy do środka. Duża, czysta izba pełna jest zielonych roślin i ozdób z kolorowych papierów. W łóżkach leży parę osób, których przy słabem świetle nie można rozpoznać. Ale gospodarz pędzi zaraz żonę i córkę, by stawiały samowar.

Bez żadnych wstępów wyjaśniam cel naszego przyjazdu: chcę z nim zapolować. Od dziecka zna te puszcze, a że poluje, niech się tego nie zapiera. Nie przyjechałem, by go za to prześladować. A kiedy pójdzie, to przecież nie zadarmo. Ale chłop pozostaje nadal nieufny. Dawniej, to on może polował, ale teraz już nie: stare lata i zniknęła ochota myśliwska.

— Sam wiesz — zwraca się chytrze do gajowego.

— Dobrze byłoby ci z panem zapolować. Pan prawdziwy ochotnik. Krzywdy twojej nie chce, a jeszcze wynagrodzi. Pan by chciał rysia na jutro tropić.

— Moje psy tropem nie pójdą. Nieuczone, sam się pan przekona; możesz pan je brać.

— Słuchajcie, Onufjew, poco się oszukiwać? Zapraszam was na polowanie i już.

— Słyszysz, Onufjew, pan cię na polowanie zaprasza, jakże tego odmówić! — I gajowy stawia na stole butelkę z wódką.

Dziewczyna, która nakrywała stół kolorową serwetą, strzela ku nam wesoło oczyma.

— Namów ojca, by poszedł z nami — żartuję.

— To nie babska sprawa — odzywa się poważnie Onufjew. — Pójść to ja mogę, czemu nie. Ale nie myśl pan, by rysia łatwo dostać. Śladów to on nocą moc da, ale nie zgadnąć gdzie się trzyma. Śladem iść to najlepsza ochota, wie się wszystko co nocą robił.

Stary patrzy na mnie uważnie.

— Śladem ciekawie iść, pan to rozumie, że ze śladu jedynie wszystko wiedzieć można.

Na stole stoją już kieliszki. Piję do gospodarza za pomyślność jutrzejszej wyprawy. Upaja nie wódka, ale obraz przemykającego się w gąszczach rudego zwierza, bieli, na której zostawia ślad gonu psów.

Kładziemy się na sianie, które rozesłano na ziemi. Jeżeli stary Dymitr zechce, to i ryś na jutro pewny, tak mi się wydaje, kiedy zasypiam.



Anormalne parostki rogacza, ubitego przez mjr. dypl. Wł. Rozwadowskiego w pow. Kępno (woj. poznańskie).

Budzi mnie krzątanina i światło lampy. Herbata już na stole, Stankiewicz i gajowy gdzieś wyszli. Raźno się wstaje, bo i na dworze jakby jaśniało. Parzy twarz lodowata woda, przygotowana w niecce, ale potem nie czuje się mrozu, kiedy wychodzę na dwór.

Jakby pierwsze światło wsiąkało w noc, choć na wschodzie żadnej jaśniejszej zmiany niema. Nawaliło się chmur i sypie z nich drobny pył. Mróz w rzeczywistości znacznie zelżał. Ciemnieje las, stojący przy chacie, ale dalej polanę zakrywa jeszcze noc. Coś tam Stankiewicz przy stajni rozpowiada, już sanki zaprzęgają, zaraz pewno ruszamy. Zbliżam się do nich.

— Oby tylko śnieg śladów nie przyprószył.

— Nic, rozpozna się, co go tam pada. A dobrze, że niebo pokryte, zwierz nie taki czutki.

Psy jakby zrozumiały, że łączy nas wspólny cel, skaczą koło mnie przyjaźnie. Rudka, duża, jasno bronzowa suka, lepiej ma trzymać trop, zato czarny Mur ma być od niej ostrzejszy, byle tylko rysia dostrzedz, nie puści, a na drzewo zagna.

Powoli, jakby podnosiły się niewidoczne zasłony,

rozwidnia się polana i lasy wokół niej. Wieje od nich smutek, który w sercu myśliwego zamienia się w radość, bo smutek w nich, to dzika samotność, a dla niego jest ona najbliższem połączeniem z naturą.

Onufjew stracił swą nieufność, — pewno Stankiewicz, spryciarz nielada, coś mu umiejętnie nagadał; zajęty jest myślą, jakby rysia najłatwiej dostać. Siadamy, jak kto może, na sanki i ruszamy w stojący obok las. Jeszcze tają się w nim półmroki, nie odgadnąć wszystkiego. Psy nie odchodzą od sań; widać, że mądre i uczone. Tu po śladach nam nic, bo zaraz i granica belmoncka. Nakluczyły sporo bielaki i często sznurkiem idzie w gąszcz trop lisi. Pełno też śladów łasic i szeszków*). Sosny tu i świerki podszyte młodym gąszczem, w którym zabieli się czasem świeżym miąszem ustawiony metr drzewa.



Parostki rogacza, ubitego przez mjr. dypl. Wł. Rozwadowskiego w nadl. Szack (woj. wołyńskie). Wys. 27 cm., tylne odnogi 7 cm.; rozpiętość 17,5 cm.; waga po wygotowaniu 335 gr.

Ale oto wysoki las się skończył i wyjechaliśmy na mszar, na którego kępach trawy ze śniegiem powikłały się w misterną koronkę i stoją na nich karłowate sosny. Za nim daleko poszarpaną linją stoi wysoka ściana lasów. Kierujemy się ku nim wytrzebioną linją. Na kępach sanki podnoszą się i opadają, zawadzając o pnie. Trzeba iść pieszo. Śnieg przestał padać, ale od zachodu podnoszą się granatowe chmury, przecięte od nas różową jasnością nieba. Na mszarze śladów niema. Pardwy podobno tylko mają tu swoje stanowisko. Wysoko, błyskawicznie podnosząc się i opadając, gonią się dwa kruki. Wymarły to kawał puszczy. Już aż pod wysoki las sterczą na mchach uschnięte czarne badyle sosen.

Lecz oto znak życia: trop wilczy. W miejscach, którędy przeszedł, pouginały się trawy i osypały ze śniegu. Za nim idzie się prędzej. Dochodzimy do wysokiego lasu. Olchy tu, osiki, jesiony i brzozy; łozy otaczają je zwartą ścianą. Czerwieni się metr olchowego opału, jako jedyny znak, że człowiek tutaj pracował. Bo zdaje się, że wiatr tylko tutaj gospodarzy, jakby niedawno przeszedł tędy huragan, tyle leży zgniłych pni, przewróconych drzew i gałęzie utworzyły nieprzebyte przeszkody. Pierwotna puszcza.

Siadamy do sań i jedziemy po jej skraju. Trzeba już śladów pilnować, bo mszar się skończył i powikłana łoza dała nam wstęp wąziutką dróżką. Przy przewróconej osinie bielaki nocą wyprawiały harce, aż śnieg zdeptały wokoło. Psy się niepokoją. Próbują zapuścić się w gąszcz, ale wracają na głos Onufjewa. Ciągle łozy i łozy.

Nagle serce w piersi zabiło. Dróżka przecina równą linją szeroki, miękki ślad rysia. Już człowiek stara się odgadnąć, kiedy tu szedł, dokąd zmierzał. Ślad jest dzisiejszej nocy. Jeszcze puszyste są miękkie wgłębienia i bryłki odrzuconego śniegu. Teraz Onufjew ma głos. Zastanawia się.

— Szedł na Krywyj Ruczaj — mówi po chwili. — Trzeba zobaczyć kędy tam przeszedł.

Robimy łuk po łozach, przedzierając się przez nie to dróżką, to po zamarzłym ruczaju. Musiał gdzieś tutaj przejść. Onufjew idzie przed sankami i wypatruje go. Jest nareszcie.

— My z panem pojedziemy na Brawatnuju, trzeba zobaczyć, czy ślad drogi tam nie przecina. Jeśli nie, to on w tych łozach pozostał. Wy tu poczekacie, za ciężko w sankach we czworo.

Rudka nie chce od śladu odejść, aż drży cała; trzeba ją brać na sanie. Prędko jedziemy teraz — wyjechaliśmy z łóz.

— Daleko ta Brawatnaja?

— Teraz nie, przejechać wszędzie można.

Jak on tę puszczę zna. To przetnie wysokim lasem, to przejedziemy przez mszar wśród niego, aż znowu łozy, ale droga już w nich szeroka. To właśnie Brawatnaja. Przejechaliśmy ją wzdłuż, nigdzie śladu niema. Ryś pozostał po tamtej stronie w łozach. Chciałoby się najprędzej za śladem w gąszcze zapuścić, bo też i granatowe chmury podniosły się nad nas i pada drobny śnieg. Onufjew jest zamyślony.

— Na śladzie pana nie postawię. Zwierz, jak psy po nim pójdą, na niego wracać nie będzie. Stań pan przy tej złamanej sośnie. Tu właśnie jego przechód. Będzie się kręcił po łozach, ale z pod psów wyjść musi. Słuchaj pan tylko dobrze, gdzie będzie gon.

Wysiadam, a on prędko odjeżdża. Przedemną i za mną ciągną się łozy, które puściły się po starym lesie, bo widać wśród nich zgniłe pnie. Pamiątkę starego lasu, złamaną sosnę, przy której stoję, rozłupał kiedyś piorun. Brak towarzyszy sprowadził na nią nieszczęście, los i jej nie darował. Coraz większy pada śnieg. Kiedy się patrzy w górę, wiruje tysiące płatków, że nie widać za niemi ciemnych chmur. Jak długo spadają od nich, bo wolno i wolno kręcą się w powietrzu; aż dopiero przy samej ziemi prędko padają, jakby się chciały połączyć z zaginionymi towarzyszami. Wybiera się wysoko jeden płatek i można go długo śledzić.

Onufjew już pewno ruszył za tropem, byle tylko śnieg śladów nie zasypał. Długo stoję w zupełnej ciszy. Błysnęło niespodziewanie słońce. Przedarło się gdzieś z poza chmur i, jak zaczarowany, zmienia się widok przedemną. Pokładły się blaski i cienie na śniegu, widać teraz całą jego nierówność. Na martwym, białym kobiercu potworzyły się wzory najróżniejsze gamą i rysunkiem. Padają na nie drgające światłami płaty śniegu.

Gon... I w jednej chwili nic się nie spostrzega — słucha się. Czy za rysiem? może psy popędziły bielaka. Idzie gon bezustanny. Rozpoznać można pojedyńcze głosy psów. Zbliża się ku mnie, kierując się bardziej na lewo, ale wspominam to, co mówił Onufjew, że ryś będzie się kręcił po łozach, stoję więc na miejscu. Coraz bliższy jest gon. Ach gdyby zwierz ku mnie zmierzał! Zbliża się, zbliża coraz bardziej. Chciałoby się usunąć przed wzrokiem wszystkie

*) Szeszki — tchórze. *(Przyp. red.)*.

przeszkody, zobaczyć go. Teraz się oddala. To nie za bielakiem. Za bardzo jazgotliwe, zacięte jest szczekanie. Oddala się coraz bardziej wgłąb. Dlaczego nie tu — nie na mnie? Biedz tam, może stanąć w środku łóz? Ale rozwaga zatrzymuje na miejscu. Oddalił się gon. Śnieg przestał padać. Jakby niewidzialną ręką rozsunięte chmury rozwarły okna na błękit. Serce zamiera znowu nadzieją, bo gon się znowu zbliża. Idzie teraz prosto na mnie. Stoję nieruchomo, przysypany śniegiem kożuch nie będzie widoczny. Coraz bliżej i bliżej. I widzę nagle rudego zwierza, który przesadził drogę, mignął się tylko. Nie na strzał, na 150 kroków. Gdybym tam stał!...

Przeleciały za nim psy blisko zupełnie. Biegnę za niemi. Może ryś wróci na swój ślad. Jestem na tropie, ale w łozach posuwać się prędko nie można: gałęzie tworzą taką plątaninę i głębokie nierówności zdradziecko przykrył śnieg. Oby tylko posunąć się jak najgłębiej. Trzeba było kożuch zostawić na drodze. Odbiegłem od niej jakieś 200 kroków. Staję. Tu będę czekać. Serce tak mocno wali. Gon się oddalił, ale słychać go wyraźnie: poszedł w lewo; wraca. O, jak serce bije!... Coraz wyraźniej słychać psy. Szczekanie jest coraz bardziej zażarte, ale jakby stanęło. Wsłuchuję się długą chwilę. Tak, psy stoją na miejscu — ryś skoczył na drzewo. I w jednej chwili porywam się do biegu. Teraz już łozy nie są dla mnie przeszkodą. Padam parę razy, podnoszę się i biegnę dalej. Coraz bliżej i bliżej wściekłe ujadanie psów, już, już... Brunatna suka rzuca się na miejscu, zapatrzona gdzieś w górę. Obok Mur, najeżony czarną szerścią, skowyczy. Stara osika, pokryta grzybem, rozpostarła nad łozą gałęzie. Idzie jej strzała w niebo białemi plamami. Psy, czując bliskość człowieka, jeszcze wściekle ujadają. W górze nic nie widzę. Chciałoby się tę chwilę zatrzymać! Na drzewie gdzieś jest ryś.

Jest!... Spłaszczony na grubej gałęzi, siedzi przyczajony zwierz. Jakbym widział jego podłużne, świecące oczy, wpatrzone we mnie. Muszka zniknęła na jego ciele. Trach!... Porwał się, pazurami czepia się kory. Zawisł przez chwilę, opuścił głowę i padł na śnieg. Rzucam się, by odpędzić psy. Nie szarpią go, skaczą tylko wokoło, skowycząc.

Przedemną leży ryś. Ten sam, który pozostawił tam ślad nocą. Trochę ubyło puszczy tajemnicy, ale kiedy jest mróz, potrzebne jest futro rysie.

JAN TYSZKIEWICZ.

PIERWSZY ŚNIEG — PIERWSZY LIS!

Było to 24-go listopada ubiegłego roku. Od paru dni mróz trzymał około 4°, a w nocy spadł obfity śnieg — pierwszy śnieg! i to nie, jak najczęściej w takich razach, mały, mokry i topniejący, ale odrazu solidny.

Jak sięgnąć okiem, ciągnęła się biel niepokalana, obramowana na widnokręgu czarnem pasmem lasów. Ponowa! Ile czaru ma dla myśliwego to słowo, wie każdy z nas. Trudno wtedy usiedzieć w domu i ciągnie coś hen na pola, do lasu...

Nietylko widać ja byłem tego zdania, gdyż skoro świt przed dwór w Przegalinach zajechały pojedyncze saneczki, a w nich dwie charakterystyczne sylwetki. Odrazu poznałem: stary Makaruk z synem. Dziwny to był człowiek ten Makaruk — (będę go nazywał Grzegorzem, a jego syna Jankiem) — dziecko natury, ongiś kłusownik, posiadał ponoć kiedyś nawet pozwolenie na broń, ale wskutek jakichś kolizyj z prawem łowieckiem odebrano mu je; potem podobno przechowywał jeszcze strzelbę, ale od lat kilku ustatkował się, gospodarując w najbliższem odemnie sąsiedztwie, na kolonji. Pożal się Boże, co to za gospodarka! Prawdziwe „dzikie pola", zapuszczone, nic w porę nie zrobione...

Grzegorz więcej się interesuje sadownictwem, dorywczym handlem, rybactwem, chwytaniem tchórzy, zimowych łasic, raz widłami skłuł gdzieś borsuka, którego sprzedał miejscowemu Joskowi jako wydrę... Jest to komik, kawalarz i... alkoholik.

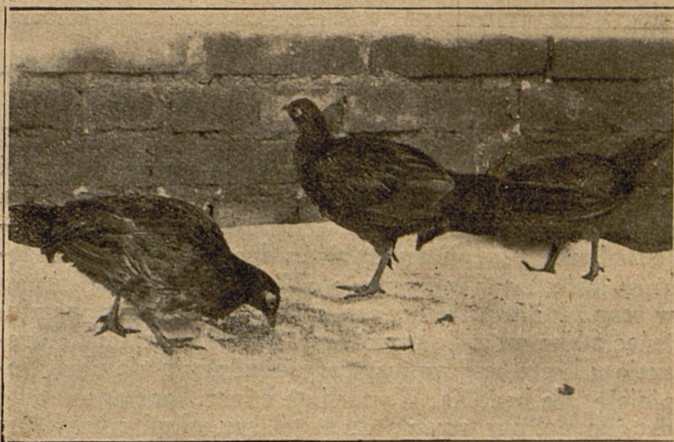
Ponieważ mieszka na wzgórku, skąd roztacza się widok na rozległe pola dworskie i dzierżawione tereny włościańskie, więc stanęła między nami umowa, że gdy tylko pojawi się lis, Grzegorz natychmiast ma się stawić i zameldować mi o tem. A jest to mistrz nad mistrze w objeżdżaniu lisów! Zarówno stary, jak i młody, wyspecjalizowali się w tym fachu znakomicie, wiedzą którego lisa można podjechać, a którego znów pędzić sankami na upatrzony stóg lub krzak, gdzie obierają moje stanowisko. Jeden objeżdża sankami, drugi zabiega piechotą i w rezultacie lis idzie w upatrzone miejsce.

Gdy więc pokazują się saneczki z charakterystyczną oszroniałą kobyłą, idącą galopem przez folwark, przerywa się każde zajęcie, nie pyta się, czy warto jechać, ani wogóle co i jak, tylko nagwałt bierze się coś ciepłego na siebie, strzelbę, naboje i — jazda! Najczęściej też w takich wypadkach wraca się z lisem, chyba że ja coś miałem na sumieniu, bo oni zadanie swoje spełniają bez zarzutu.

Wróćmy jednak do tego ranka:

— A może pojedziemy na lisa? — rzucił trochę nerwowo Grzegorz.

Oczywiście, że w związku z ponową nie miałem co do tego projektu objekcji i po chwili mknęliśmy wielką, wysadzaną drzewami drogą, między dworskiemi polami, zwaną „Trybem". Mróz szczypał dotkliwie, śnieg właśnie niedawno przestał padać, pola były białe i głuche — tropów wyjątkowo mało: może zostały zasypane, a może zwierzyna była oszołomiona pierwszym śniegiem i mało chodziła?



Hybrydy bażanta z kurą domową. (Vide notatka na str. 56).

Przejechaliśmy pola w różne strony, pod lasem komarowskim spotkaliśmy parę lisich tropów, ale już pokrytych śniegiem, minęła godzina — chyba dziś już nic nie będzie! Raz tylko Janek twierdził, że w odległej podorywie widział coś, co się ruszyło, ale nie brałem tego na serjo, bo już byłem zniechęcony. Nagle w pobliżu sanek pomknął kot, a ja, nie namyślając się długo, wyskoczyłem do strzału, po którym kot rulował.

W tej chwili słyszę krzyk Janka: „lis, lis!" Nie widzę nic — okazuje się, że po moim strzale lis pomknął z tej właśnie podorywy, gdzie go Janek przedtem widział i poszedł wprost do lasu. Jedziemy tam niezwłocznie. Jest świeży trop! Każdy z nas wie, że od świeżego nawet tropu do zabicia lisa bardzo, bardzo daleko... Grzegorz jednak był innego zdania i oświadczył krótko: „lis nasz".

Zostawiwszy sanki w ukryciu, idziemy wszyscy trzej tropem; czynność ułatwiona, bo to jedyny wyraźny ślad prócz zajęczych i zgubić go niesposób. Kołujemy długo po gęsto podszytym lesie (puszysty śnieg z krzaków spada na głowę i za kołnierz) — trop przybiera kształt sznureczka, potem znów nagle duże skoki, lis idzie zatem tuż przed nami! Powtarza się to kilkakrotnie i wreszcie po pół godzinie wychodzimy na trop wejściowy — przed nami nieduże bagienko, porośnięte sitowiem. Bez słowa staję za krzakiem, a obaj moi towarzysze rozchodzą się, aby obejść bagno z drugiej strony.



Z przelotów. Fot. J. Kostka.

Lis jednak nie czekał na ten manewr i wyszedł przed nami z bagna, przeszedł do rowu granicznego i sadzi wprost na drugi las, odległy o kilometr. Jedziemy za nim — w pewnym momencie sanki wywracają kozła— jednak nie zdążyliśmy zabiedz drogi i lis ginie w gęstym lesie. Zostaję na rowie, a Grzegorz z Jankiem idą w trop.. Mijają kwadranse, marznę setnie, ale, pamiętając z kim mam do czynienia, tkwię w bezruchu. Wreszcie u kresu mej wytrzymałości ukazują się obaj tropiciele, ale bez lisa. Wyparli go z lasu, lecz przemknął drugim polnym rowem do tego lasu, skąd ruszyliśmy go po raz pierwszy.

Jestem zupełnie zniechęcony, ale mam zato cenne spostrzeżenie, że ten lis lubi chodzić rowami... Wracam na miejsce, którędy lis pierwszy raz wszedł i wyszedł z lasu, niezmordowani zaś towarzysze jadą z drugiej strony lasu i mają iść za tropem. Oczekuję znów około pół godziny, stoję na brzegu wąskiego pasma lasu, przedemną pole szerokości jakichś 70 kroków, dalej las — po lewej ręce mam duży rów graniczny, idący równolegle do pola, porośnięty gęsto krzakami. Nagle w lesie o paręset kroków miga się coś żółtego — lis idzie wolno, przystaje i ogląda się, defiluje przedemną na granicy strzału, ale nie wychodzi z lasu i posuwa się równolegle do pola; widzę już i obu Makaruków, idących za tropem, ale lis ginie mi z oczu, nie wychodząc na pole. Przywołuję gestami bliższego Janka i następuje krótka narada. Przechodzę kilkadziesiąt kroków w lewo na rów, a oni znów zagłębiają się w las, aby lisa skierować na mnie.

Z biciem serca czekam skutków tego manewru, który też się udaje: widzę lisa, wybiegającego truchtem z lasu, przecinającego pole i kryjącego się w moim rowie o jakieś 300 kroków w lewo. Zaraz potem znacznie dalej wybiega Janek, przecina pole i rowem zaczyna iść w moją stronę. Teraz albo nigdy! Pociąg do rowów tym razem nie wyszedł mykicie na zdrowie. Stoję bez ruchu, wpatruję się w rów, aż oczy bolą, wstrzymuję oddech, duży palec nerwowo naciska na bezpiecznik...

Janek jest już o jakieś 100 kroków, a lisa nie widać. Spostrzegam wreszcie jakiś ruch na dnie rowu, z gałązki spada źdźbło śniegu. Idzie... Wytężam wzrok i widzę coś ruszającego się na dnie rowu o 30 kroków. Podnoszę strzelbę i mierzę... Lis znów znikł w krzakach, a po chwili daje wielkiego susa (widocznie mnie dojrzał) i mknie już przez pole do lasu. Muszę i ja dać susa, bo między mną a lisem znalazł się krzak — strzelam w ostatniej chwili i lis ruluje już między pierwszemi drzewami lasu!

Ten sumiennie wypracowany egzemplarz okazał się dużą suką ze wspaniałą, prawie czarną kitą. Nadbiega Grzegorz z synem, następują oględziny, fachowe uwagi i zachwyty. Po chwili mkniemy już do domu wraz z lisem i zającem, który, sam ginąc, stał się przyczyną zguby pierwszego... Z emocji zapomniałem nawet o mrozie.

Wieczorem zawołałem Grzegorza. Był zbyt „honorowym", aby przyjmować za usługi myśliwskie jakiekolwiek wynagrodzenie, traktował to po amatorsku czasem tylko, sam nie posiadając lasu, prosił o furkę gałęzi.

Co było tego wieczora, o tem zamilczę, zaznaczę jedynie, że Makaruk nie mógł potem długo trafić do domu, a gdy wreszcie dokonał tego, to w sieni wdepnął w dzieżę z kwasem chlebowym, który wylał na siebie (zdaje się, że sprawca był na podłodze), poczem, nie zwracając uwagi na złorzeczenia bab, otrząsnął się i poszedł spać. A spał widać snem zasłużonego, gdyż nie mogli się go dobudzić nawet nazajutrz w południe. Tak przynajmniej opowiadał jego rodzony syn po dniach kilku.

JERZY SZANIAWSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1936, na I półrocze, na I kwartał, lub na miesiąc luty.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

W dniu 7 stycznia 1936 r. zmarł w swoim majątku w Blichowie, Ziemi Płockiej, Delegat powiatowy P. Z. S. Ł. ś. p. Paweł Krzymowski w wieku lat 45.

Mandat Delegata piastował Zmarły od dwóch lat. Przedwcześnie przecięta nić żywota nie dała Mu dopełnić wszystkich zamierzeń na tem polu, gasząc serdeczne porywy i poświęcenie się pracy społecznej.

Zmarły był zamiłowanym myśliwym-hodowcą.

Cześć Jego pamięci.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Komunikat w sprawie legitymacyj członkowskich na 1936 r.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich przypomina niniejszem, że Oddziały i Stowarzyszenia Związkowe winny nadesłać sekretarjatowi Związku pełne wykazy swych członków dla wystawienia im związkowych legitymacyj członkowskich na rok 1936.

Jednocześnie Wydział Wykonawczy Związku przypomina, że Stowarzyszenia Związkowe obowiązane są wpłacać składkę członkowską na ręce Związku zgóry, przynajmniej w ratach półrocznych. Wpłaty należy wnosić za pośrednictwem Pocztowej Kasy Oszczędności (PKO), konto Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie Nr. 8082.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 8 STYCZNIA R. 1936.

Przewodniczył p. Wacław Szperling, obecni byli p.p.: red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, inż. Jan Grabowski, dr. Ignacy Grymiński, Kazimierz Kamieński inż. Kazimierz Tołłoczko, dr. Aleksander Tallen-Wilczewski, protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 19 grudnia r. 1935.
2. Sprawy bieżące.
3. Odznaczenia.
4. Wnioski.

Wydział Wykonawczy zatwierdził, bez zmian, protokół posiedzenia swego z dnia 19 grudnia r. 1935.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości rezygnację z mandatu Delegata Związku na powiat Biłgoraj (Lb.) p. Antoniego Skulskiego.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie Naczelnego Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego za przeznaczenie przez Związek tytułem ofiary sumy zł. 500.

W łączności z pismem Delegata Związku na powiat Węgrów (Lb.) p. Jaworskiego, Wydział Wykonawczy uznał, iż nie znajduje podstawy statutowej do obniżenia składki na rzecz Związku od Stowarzyszeń, które dzierżawią tereny łowieckie i wykonują prawo polowania.

Nadesłane przez p. p.: Żenczykowskiego i Ulma projekty schematu sprawozdań Delegatów Powiatowych postanowiono przekazać p. inż. Knothemu z prośbą o zreferowanie na jednem z następnych posiedzeń Wydziału Wykonawczego.

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Sędziemu Henrykowi Dreszerowi,
Sędziemu Fortunatowi Gzowskiemu,
Płk. Dypl. Jarosławowi Okulicz-Kozarynowi;

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej.

Kpt. Stefanowi Brykowiczowi;

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Mieczysławowi Wolanowi, posterunkowemu policji państwowej w Zaborowie (pow. warszawski).

KONFERENCJA W SPRAWIE TERMINÓW OCHRONNYCH.

Dnia 12 b. m. odbyła się w Warszawie, w lokalu Związku, konferencja w sprawie potrzeby zmian terminów ochronnych dla niektórych gatunków zwierzyny łownej w województwach pomorskiem i poznańskiem.

W konferencji tej udział brali pp.:

z Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Oddziału P. Z. S. Ł. na województwo poznańskie — prezes płk. Konstanty Chłapowski, Olgierd ks. Czartoryski i Kazimierz Hoszowski,

z Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, Oddziału P. Z. S. Ł. na województwo pomorskie — wiceprezesi dr. inż. Leon Ossowski i inż. Feliks Soboczyński,

z Towarzystwa Racjonalnego Myśliwstwa „Łowiec Wielkopolski" — prezes dr. Krzysztof Wize,

z Wydziału Wykonawczego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich — prez. Wacław Szperling, inż. Jan Grabowski, red. Walenty Garczyński, dyr. Bohdan Gędziorowski, inż. Herman Knothe i prez. Józef Skrzypek.

Na przewodniczącego obrad zaproszono p. inż. Jana Grabowskiego.

Uzgodniono projekt terminów ochronnych dla sarn-kozłów, zajęcy-szaraków oraz dzikich kaczorów i kaczek w województwach poznańskiem i pomorskiem na okres trzech lat, i projekt cofnięcia wydanego przez P. Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych zezwolenia generalnego na polowanie w województwach poznańskiem i pomorskiem na łanie i cielęta jelenia i daniela oraz sarny-kozy i koźlęta.

Omówiono nadto sprawę polityki łowieckiej w lasach państwowych oraz postanowiono prosić władze Związku o wyjednanie przyśpieszenia odpowiedzi czynników miarodajnych na złożony przez Związek memorjał w tej sprawie.



PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Ile razy ukaże się na półkach księgarskich książka myśliwska, tyle razy żywiej zabije serce myśliwego, gdy ją ujrzy na wystawie. W każdym razie tak być powinno. Niestety, widzimy coraz mniej nowych książek myśliwskich, co dowodzi, że mały istnieje na nie popyt. Ostatnio jednak trochę jakoś zrobiło się ruchu. Między innemi wydawnictwami, o których już pisano, niedawno ukazała się nowa powieść dla młodzieży znanego podróżnika i utalentowanego powieściopisarza, Ferdynanda A. Ossendowskiego. Treść jej zaczerpnięta jest z życia leśnego i rybackiego. „*W Polskiej Dżungli*", gdyż taki jest tytuł tej powieści, ukazała się nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych i została przez Ministerstwo Oświaty polecona, jako lektura pozaszkolna.

Kiedy dostałem i przeczytałem tę powieść, przyszło mi na myśl porównać ją z dwiema innemi, bardzo podobnemi. Jedna to powieść dla młodzieży Włodzimierza Korsaka, p. t. „Na tropie przyrody", druga — Marji Rodziewiczówny p. t. „Lato leśnych ludzi". Obie jednak mają poważne braki jako lektura dla młodzieży. „Lato leśnych ludzi" ma tę dobrą stronę, że rozwija w młodzieży miłość i poszanowanie praw natury, złą zaś stroną tej powieści jest wysoki djapazon patrjotyczny, który przebija ze wszystkich dzieł tej powieściopisarki. Dobre to, ale nie w książkach o ptakach, zwierzętach i roślinach, odwraca bowiem uwagę czytającego od głównego tematu, wprowadza inny nastrój, niż ten, jaki musiałby dominować, gdyby powieść pozbawiona była patosu na tle patrjotycznem. Powieść Korsaka ma również dwie strony medalu: jedna — to może trochę za suche opowiadania na tle czystej przyrody, które nie każdego chłopca zajmą, ale równocześnie, gdy czytelnik jest zamiłowanym początkującym przyrodnikiem, rozmiłuje go w łowiectwie i badaniu życia zwierzyny do tego stopnia, że o tem przez całe życie nie zapomni.

Przez dłuższy czas brak było powieści dla młodzieży w całem tego słowa znaczeniu beletrystycznej, której podłożem byłoby życie myśliwego i rybaka. I nareszcie taka książka ukazała się i to napisana przez Ossendowskiego.

Sylwetki trzech chłopców i ich małej towarzyszki, sylwetka nadleśnego Garzymskiego, Poleszuków, kłusowników są niezwykle piękne i dostrojone do obrazu Polesia. Polesie — to kraj łowów i rybołóstwa, kraj ukochany przez myśliwych i przyrodników, ukochał go też autor, napisał wszak o niem większą monografję. Zrozumienie duszy Poleszuka, jego potrzeb materjalnych — przebija z każdego słowa. Może najsilniejszą, najbardziej wycyzelowaną sylwetką jest postać nadleśnego Garzymskiego. Czytając o nim, chciałoby się cieszyć, że mogą istnieć tacy leśnicy, tak kochający las i zwierzynę, a równocześnie o takich charakterach.

Wreszcie kilka uwag czysto stylowych. Otóż autor w pracy swej porusza tak ważny i aktualny obecnie temat, a mianowicie gwarę i język łowiecki. Słusznie chwali on zachowanie jego czystości, lecz, niestety, niezawsze dobrze dobiera wyrażenia. Np. basior — to nie każdy wilk, a tylko stary pies-samiec i t. p. Małym zgrzytem zabrzmiała scena upolowania rysia z małego sztucerka, poprostu z floweru. A nawet w powieści z faktu tego wszyscy się cieszą.

Są to jednak małe usterki, bez których w powieści obejść się trudno. Główna treść i cel tej powieści — to rozmiłowanie młodzieży w łowiectwie i rybołóstwie, co mam wrażenie w zupełności udało się szanownemu i zasłużonemu autorowi.

Książki takie, to wielce pożądane podarunki dla młodzieży, bardziej pożądane, niż flowery. Od nich trzeba zacząć, jeśli chcemy, by z młodzieży wychować przyszłych myśliwych, nietylko polujących, ale mających także stać na straży etyki i strony naukowej łowiectwa.

I za to dzięki ci, mistrzu słowa, żeś dał nam taką książkę, żeś dał nam sposobność rozmiłowania naszych synów i wnuków w najpiękniejszem i najbardziej rycerskiem zajęciu — jakiem jest prawidłowe, klasowe, szlachetne łowiectwo.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Krasiński Edward: *O Radziejowicach i ich gościach niektórych.* (Ze wspomnień o Sienkiewiczu). Warszawa 1934, str. 55, 1 nlb.

Edward hr. Krasiński, znany w Polsce społecznik i mecenas nauki, autor „Obrazków łowieckich" wzbogacił polską literaturę, tę o szlachetnych tendencjach i nieskażoną podłością współczesnego nowatorstwa — nowem wydawnictwem o Radziejowicach, rezydencji jego i jego znakomitych gościach. Z pośród tych gości wymienię tu tylko osoby, które bądź piórem, bądź pendzlem związały się z łowiectwem: Lucjan Siemieński, Juljusz Kossak, Kazimierz hr. Wodzicki, Henryk hr. Wodzicki, Aleksander Rembowski, Józef Chełmoński, Stanisław Zaborowski, Włodzimierz Zagórski, wreszcie Henryk Sienkiewicz.

Przez wszystkie karty tej wspaniałej pracy snuje się ukochanie tradycji, szacunek dla piękna, miłość Boga i przyrody oraz głębie wprost serce dla matki, której publicznie i niejednokrotnie, ten człowiek już siwowłosy — całuje nogi. Ta zacna matrona polska dała dzieciom swoim istotne szczęście, ciągnęli do niej ludzie, jako do istoty gorącego serca, wyczuwającej cierpienia i radości każdej duszy. „Oderwana duchowo od świata — pisze Krasiński — stała się dla nas Matka prawdziwą ostoją miłości, sprawiedliwości, mądrości, nosząca już w sobie — jakby w ostatniem macierzyństwie — wieczne wartości cnót, uświęconych cierpieniem i przeżytemi latami". Jeśli o miłości Słowackiego do matki mówimy w superlatywach — to przy tej miłości śmiało stanąć może synowskie serce Autora.

A teraz prowadźmy czytelnika ku ciekawym radziejowickim epizodom myśliwskim. Malownicza i dzika knieja radziejowicka, to część słynnej ongi, królewskiej, jaktorowskiej puszczy. Po mszy świętej w ślicznym kościołku radziejowickim, jeździli na rogacze Sienkiewicz z ks. Chełmickim, Rembowskim i Stanisławem Zaborowskim. Sienkiewicz kochał życie pod wszystkiemi postaciami. Za podróżami przepadał, były one potężną dźwignią jego zdrowia, konieczne dla rozmaitości wrażeń. Jednem z najważniejszych odpoczynków Sienkiewicza bywało polowanie: rzadko kiedy radziejowickie opuszczał. Jako myśliwy — pisze Autor — posiadał właściwe każdemu łowcy znamię pierwotnego człowieka — chciwość zdobycia. Przytem jednak bywał bardzo często roztargniony, nieuważny i nie stał spokojnie na stanowisku.

O zabawnem zdarzeniu tak pisze Autor: „Podczas jakiegoś miotu, trwając na sąsiedniem z nim miejscu, spostrzegłem, że Sienkiewicz, oparłszy strzelbę o drzewko, wyciera szkła okularów rękawiczką, poczem, założywszy je na nos, wyciąga pulares i czegoś szuka! Staliśmy przed gąszczykami olszowo-brzozowemi i trawami. Widzę raptem, jak na stanowisko Sienkiewicza sznuruje lis, który, spostrzegłszy jakieś podejrzane ruchy, na chwilę przystanął. Zrozumiałem zaraz, że lis w takich warunkach zawróci i na Sienkiewicza nie wyjdzie. Zatem, nie wiele się namyślając, a nie było odemnie tak daleko, strzeliłem i zabiłem. Sienkiewicz i tego na szczęście nie spostrzegł, bo w tym momencie przechodziły przez linję jakieś zające, a on za strzelbę, nieroztropnie o drzewko opartą, chwytał właśnie nerwowo. Nie wiem, czy owe szaraki położył. Dokuczał mi potem pewien towarzysz, który tę scenę widział, brakiem gościnności, chciwością myśliwską. Tłomaczyłem się jak mogłem; jednak miałem wrażenie, że mój przyjaciel zazdrościł, gdyż wiedział, iż sąsiadując z Sienkiewiczem, korzysta się więcej, niż przy innym strzelcu, na ilości położonej zwierzyny".

Ciekawą też przygodę myśliwską opisuje Autor o sławnym malarzu naszym Chełmońskim, który nie bardzo umiał się obchodzić z bronią. Zaproszony na polowanie, zaraz w pierwszym kotle postrzelił sąsiada lekko w ucho. Dostrzegł to Rembowski, wielki myśliwy i w niesłychanem oburzeniu krzyczeć począł na całe gardło: „Sztachety ci malować i szyldy, smaruchu, a nie polować!..." Chełmoński zbladł, rzucił nieprzytomny strzelbę w podorywę i prosto z pola, jak stał, umknął kłusem, gnany przerażeniem do niedaleko położonej swej Kuklówki. Rembowskiemu nigdy nie pokazał się więcej, unikając go do śmierci; ilekroć miał przybyć w odwiedziny do Radziejowic, zapytywał uprzednio, czy niema przypadkiem Rembowskiego.

Książkę zdobi portret Heleny ze Stadnickich Józefowej Krasińskiej, fotografja zamku obronnego i pałacu w Radziejowicach oraz dwa zdjęcia fotograficzne z Sienkiewiczem na polowaniu w Radziejowicach. Książkę tę czyta się jednym tchem. Są to złote karty pamiętnika.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

H. Mattausch—„*W czarownym parku Beskidów*" (In Zauberparke der Beskiden). — Pod powyższym tytułem ukazała się nakładem firmy berlińskiej Neumann-Neudamm książka p. H. Mattauscha, oparta na przeżyciach łowieckich w naszych Beskidach wschodnich. Autor, który, jak widać z książki, spędził czas dłuższy na Huculszczyźnie i poznał dokładnie kraj i ludzi, jest entuzjastycznym wielbicielem tego pięknego zakątka naszego kraju. W barwnych słowach obrazuje on piękno krajobrazu górskiego we wszystkich porach roku i na tem tle odtwarza wszystkie rodzaje wrażeń myśliwskich, poczynając od wiosennych toków głuszcowych, poprzez letnie podchody kozłów, jesienne rykowisko jeleni, polowania z wabikiem na jarząbki, a kończąc na zimowych łowach na wilki, niedźwiedzia i rysia.

Wiernie uchwycone obrazy łowieckie wiąże zgrabnie wątek powieściowy z nieodłączną intrygą miłosną, a urozmaiconą emocjonującemi scenami obławy na kłusowników, noclegów przy ognisku z opowiadaniami klechd o legendarnym zbójniku Doboszu, wreszcie groźnej powodzi wskutek wylewu Czeremosza.

J. G.

DOBRE I ZŁE.

„Echa Leśne" w Nr. 1 z r. b. zamieściły między innemi artykuł sprawozdawczy z kursu kandydatów na podleśniczych i leśniczych w Toruniu, odbytego w okresie pomiędzy 9.IX. a 12.X. 1935 r.

O kursie tym pisałem już na tem miejscu, obecnie pragnę podkreślić dane statystyczne, dotyczące słuchaczy, a także podać do ogólnej wiadomości program kursu w dziale łowieckim.

Dowiadujemy się zatem, że z 43 uczestników kursu z województwa pomorskiego było 12 słuchaczy, ze śląskiego 8, z poznańskiego i lwowskiego po 4, z warszawskiego, łódzkiego i stanisławowskiego po 3, z tarnopolskiego 2 i wreszcie z kieleckiego, wołyńskiego, poleskiego i wileńskiego po 1.

Kurs posiada wszechstronny program fachowy i jest doskonale prowadzony i oparty o wysoki poziom wymagań, które znajdują wyraz przy egzaminowaniu.

Kurs ten winien być jak najszerzej popierany nietylko przez zainteresowanych kandydatów, z których nie każdy może z własnych funduszów opłacić podróż do Torunia i pobyt pięciotygodniowy w obcem mieście, lecz przedewszystkiem przez właścicieli obszarów leśnych, w których interesie leży rozporządzanie wszechstronnie fachowym personelem.

Dział łowiectwa na kursie w Toruniu obejmuje 3 poddziały: zwierzynę płową (jelenie, daniele, sarny), zwierzynę czarną (dziki), zające i inne gatunki hodowlane; opis i tryb życia zwierzyny; czas popędu płciowego i jego nazwy u poszczególnych gatunków; czas noszenia płodu i tp. Dalej — rozpoznawanie wieku niektórych zwierząt po uzębieniu; wieńce, łopaty, parostki i tworzenie się ich, oraz nazwy według odnóg. Następnie odstrzał i rodzaje polowań; rozpoznawanie tropów, znaków postrzałowych na zasadzie jakości farkowania; dokarmianie i zakładanie poletek, lizawek, paśników i t. p. tępienie drapieżników; choroby zwierzyny i środki zapobiegawcze oraz ochronne.

Następny poddział obejmuje ptactwo łowne: głuszce, cietrzewie, bażanty, kuropatwy, słonki, kaczki i inne; opis i tryb ich życia, rozpoznawanie wieku; dokarmianie; sposoby polowań.

Wreszcie ostatni zajmuje się psami myśliwskiemi; bronią myśliwską i sposobem obchodzenia się z nią; prawem łowieckiem.

*

„Łowiec" lwowski przybrał cokolwiek odmienną szatę. Nr. 1 z r. b. zawiera 16 stron druku na lepszym, niż dotychczas, papierze, do zeszytu dodana jest okładka w kolorze zielonym, której 3 strony zapełnione są ogłoszeniami.

Treść, na którą składa się szereg ciekawych artykułów, zdobi 6 fotografij i wiele winiet.

WUZET.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„WILD UND HUND"

Nr. 47/1935, str. 804. Kluge „*Przyczynki do polepszenia warunków utrzymania zwierzyny*". Autor, streszczając pracę Finklera pod powyższym tytułem, przytacza najbardziej cenne, jego zdaniem, wskazówki, doyczące hodowli głównych gatunków zwierzyny. Jeżeli chodzi o jelenie to w lasach mieszanych, liściasto-iglastych, przy ilości 1 — 2 sztuk na każde 100 ha obszaru i przy stosunku płci 1:2 żadne specjalne zabiegi — poza ochroną od kłusowników — nie są potrzebne. Jedynie w okresie wielkich opadów śnieżnych wielce pożytecznem bywa stosowanie pługów śnieżnych celem ułatwienia zwierzynie dostanie się do trawy i roślin jagodowych oraz zapobieżenia tworzeniu się jednolitej skorupy lodowej, uniemożliwiającej zwierzynie normalny ruch, lub ucieczkę w razie niebezpieczeństwa. Zakładanie pólek karmowych wskazane jest tylko wówczas, gdy chce się ilość jeleni znacznie zwiększyć, przyczem można ją doprowadzić do 5 sztuk na każde 100 ha obszaru bez obawy szkód od ogryzania kory w zagajach. Dla ochrony sarn koniecznem jest posiadanie w lasach mieszanego drzewostanu, zaś na polach — zakładanie małych, lecz licznych remiz ochronnych, otaczanych roślinami kolczastemi, w których zwierzyna może być nietylko dokarmiana, ale gdzie znajdzie również ochronę przed drapieżnikami, z której skorzystają równocześnie zające, bażanty i kuropatwy. Dokarmianie sarn jest konieczne zwłaszcza w porze zimowej, a przy wielkich śniegach niezbędnem jest używanie pługów śnieżnych, o których się wyżej mówiło. Tam gdzie dokarmiane są sarny korzystają z tego źródła również i zające. Bażant jest najwdzięczniejszą zwierzyną hodowlaną, gdyż jest odporny na zimno, niewybredny co do pokarmu, a bardzo pożyteczny, jako tępiciel szkodliwych owadów na roli i w ogrodzie. Wymaga on jednak ochrony wzmożonej przed drapieżnikami, w czem bardzo pomocne są remizy z krzewów kolczastych. — Tej samej ochrony potrzebuje kuropatwa. Ponadto wymaga ona w śnieżne zimy dokarmiania, które musi być dokonywane tylko w remizach, aby nie narażać kury na zdwojone niebezpieczeństwo przy zadawaniu im karmy w miejscach nieosłoniętych.

Nr. 48/1935, str. 1065. „*Co możemy uczynić, aby podnieść u nas stan kuropatw?*". — Artykuł p. Eiserhardta pod powyższym tytułem *) wywołał liczne uwagi czytelników. P. Gemander, potwierdzając słuszność zdania, iż z każdego stada należy pozostawić przy życiu najmniej 6 kur, gdyż: 2 kury zabiera zima, 2 kury bierze jastrząb, a zaledwie ostatnia para może założyć gniazdo — wskazuje słusznie, że przy takiem postępowaniu możemy jedynie oczekiwać zachowania dotychczasowego ilostanu kur, ale nie spodziewać się jego poprawy. Toteż jest zdania, iż przy miernym stanie kuropatw powinny być pozostawione bez strzału wszystkie stada poniżej 15 kur. Natomiast wbrew opinji p. Eiserhardta zaleca niedopuszczanie kuropatw do zakładania gniazd na łąkach, podlegających wczesnemu wykaszaniu, przez systematyczne wypłaszanie ich wczesną wiosną z pomocą psa. — P. Halfter podaje jako główną przyczynę spadku ilostanu kuropatw przedewszystkiem ogromne wzmożenie po wojnie wysiewu roślin pastwiskowych, jak np. lucerna i koniczyna, oraz żyta świętojańskiego, których zbiór odbywa się przed wylęgiem kur, a następnie — usunięcie pod wpływem nadmiernie intensywnej kultury wszelkich zarośli i krzewów na polach, co pozbawia kuropatwy wszelkiego schronu parzed drapieżnikami. Z tego też powodu autor zwrócił się do władz łowieckich z propozycją wszczęcia w kołach miarodajnych akcji w kierunku obsadzania krzewami zboczy torów kolejowych oraz drenażowych rowów odpływowych. — A Jüssen wreszcie wskazuje na warunki klimatyczne, jako na główny czynnik ilostanu kuropatw, przyczem za najszkodliwszą uważa nie zimę, kiedy kury może dbały hodowca dokarmiać, ale wiosnę, kiedy wielkie deszcze, lub spóźnione mrozy niszczą masowo lęgi. Na drugiem miejscu idą drapieżniki, przyczem za najgroźniejszego uważa autor kota, który potrafi wyniszczyć szereg gniazd kuropatwich w promieniu kilometra od siedziby. Od ptaków drapieżnych ochronę dosta-

*) P. Nr. 1/1936 „Łowca Polskiego", str. 16.

teczną są remizy. Na terenach dzierżawnych można je zakładać w porozumieniu z właścicielem terenu na nieużytkach wzamian za pewne wynagrodzenie w naturze w postaci kilku zajęcy, lub kilkunastu kur rocznie.

Nr. 48/1935, str. 809 G. Rörig *„Czy polowanie ma być wzbronione w okresie godowym?"* — Stała Komisja do spraw wędrownych ptaków łownych przy Międzynarodowej Radzie Łowieckiej odbyła w czerwcu 1935 r. posiedzenie w Brukseli, na którem powzięto następującą uchwałę: „Komisja wskazuje ponownie na konieczność całkowitego wzbronienia polowania na wszelką zwierzynę w okresie jej rozmnażania się, jak również całkowitego wzbronienia zdobywania zwierząt łownych innemi sposobami, jak z broni palnej". Autor kwestjonuje przedewszystkiem uprawnienia Komisji „do spraw ptaków wędrownych" dla orzekania o czasie polowania na wszelką inną zwierzynę, z uwagi jednak na to, że uchwałę tę ogłasza tak poważna organizacja jak Międzynarodowa Rada Łowiecka, autor czyni co do tej uchwały zastrzeżenie następujące. Podstawą do powzięcia takiego zalecenia była niewątpliwie chęć poprawy zwierzostanu łowieckiego. Otóż w stosunku do większości naszej zwierzyny skrzydlatej stałej, jak głuszec, cietrzew i bażant, zachodzi tak duża różnica w wyglądzie samca a samicy, że dla uważnego myśliwego wyłączona jest możność nierozróżnienia płci. Z tego też powodu racjonalny odstrzał kogutów w okresie godowym nie może wpływać na pomniejszenie zwierzostanu, zaś taki właśnie odstrzał zapobiega pomyłkom, które mogłyby się zdarzyć przy strzelaniu np. głuszców z pod psa, lub w nagance. To samo da się powiedzieć o strzelaniu do jeleni na rykowisku, lub do kozłów: wszelka omyłka jest wyłączona, a nadto odstrzał w tym czasie daje najlepszą sposobność do przeprowadzenia selekcji. Zupełnie inaczej jest z ptactwem przelotnem: tu odróżnienie płci jest niemożliwe (z wyjątkiem kaczorów), o selekcji mowy niema, toteż autor zgadza się na to, aby odstrzał ptaków wędrownych był w okresie godowym całkowicie zamknięty.

Nr. 49/1935, str. 829. A. hr. Schall-Riancour. *„Wzdłuż i wpoprzek Abisynji"*. — Autor spędził w Abisynji kilka lat przed wojną w charakterze urzędnika niemieckiego poselstwa w Addis Abebie. Jako myśliwy, zwiedził cały kraj. Właściwe tereny łowieckie znajdują się w odległości 350 km. od Addis Abeby, w okolicach Harraru, otoczonego górami, sięgającemi prawie 3.000 m. Odwieczna droga karawanowa biegnie ich szczytami, dzięki wilgotnym i ciepłym wiatrom z oceanu Indyjskiego tonie ona we wspaniałej roślinności, wśród której spotyka się liczne małpy oraz karłowate antylopy i buszboki. Na zachód od tego masywu górskiego ciągnie się pustynna równina z rzadko rozsianemi drzewami akacjowemi o płaskich koronach. Jest to siedziba dużych antylop, jak oryxy, antylopy Granta i hartebeesty. Jeszcze dalej na zachód step zmienia się w gęsty las palmowy z licznemi małemi jeziorkami, zasilanemi wodą z gorących źródeł. Przy tych jeziorach spotyka myśliwy całą faunę łowiecką zwrotników wraz z jej wrogami, jak lew, lampart, hjena i szakal. Właściwy płaskowyż Abisynji zaczyna się dopiero od 40° długości geograficznej, ciągnąc się na setki kilometrów z północy na południe ze wzniesieniami, dochodzącemi do 4,200 m. Tu spotyka się największą antylopę Kudu, ale tu czekają myśliwego największe trudności w postaci zarówno ciężkich pochodów, jak i gwałtownych zmian temperatury, która z 40° ciepła we dnie spada poniżej zera w nocy. W zupełnie odmiennych warunkach znajdzie się myśliwy nad jeziorem Tana. Pomimo wysokości 1700 m. ponad poziom morza, fauna jeziora jest podzwrotnikowa, z hipopotamami, krokodylami, flamingami, marabutami i ptactwem wodnem w olbrzymich ilościach. Nad granicą zaś sudańską spotyka myśliwy zwierzostan Afryki środkowej, a więc słonie, żyrafy, zebry, strusie i t. d. Bogactwo łowieckie Abisynji jest zatem ogromne. Jeżeli zaś myśliwy europejski napotyka na wielkie trudności terenowe i klimatyczne, to przeciwwagę i dużą pomoc w ich pokonywaniu znajdzie on w ludności miejscowej, będącej z urodzenia i z upodobania myśliwemi i wojownikami o charakterze ludzi silnych, zręcznych, wytrwałych i uczciwych.

J. G.

HYBRYDY BAŻANTA Z KURAMI DOMOWEMI.

(—zet—) W Nr. 18 „Łowca Polskiego" z 1935 r. zamieszczona została notatka o wyhodowaniu hybrydów bazanta z kurą domową.

Nawiązując do tej wzmianki, mam do nadmienienia, że z dotychczasowej hodowli pozostawiłem do prób dalszego rozpłodu z tych mieszanych egzemplarzy dwie młode kurki, które tem tylko odznaczają się od kur domowych, że budową ciała wysmuklejsze i wyższe są od tych ostatnich, a co do temperamentu bez porównania żywsze. Będę je dalej krzyżował z bażantem.

Pozatem posiadam jeszcze trzy sztuki hybrydów (2 kurki i koguta), które odznaczają się tą osobliwością, że wszystkie posiadają powyżej dzioba nagą, pokrytą brunatną skórką kreskę, jakgdyby nierozwinięty grzebień, nadto u koguta zaczynają różowieć róże, natomiast brak mu zupełnie bażancich ostróg na nogach. Kogut ten jest wybitnie żywego temperamentu i zdradza skłonność do walczenia.

Załączam fotografję tej trójki. W przyszłości będę nadsyłał dalsze obserwacje z rezultatów tej mojej hodowli.

IGNACY CIEŚLIŃSKI.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) Gospodarz ze wsi Biechówek w pow. Świeckim, Karol Hermann, spotkał w dniu 29 grudnia ub. r. na polu trzech nieznanych mu osobników, z których jeden niósł na plecach dobrze czemś napchany plecak.

W przekonaniu, że spotkani są kłusownikami, Hermann usiłował ich zatrzymać, lecz wówczas jeden z nieznajomych wydobył rewolwer i zmierzył do niego. H. jednak zdążył wystrzelić pierwszy z dubeltówki, zabijając na miejscu napastnika. Pozostali dwaj jego towarzysze zbiegli.

Zabitym okazał się Teodor Lewandowski z Przechowa, towarzyszyli mu Alojzy Koncz i Bronisław Kośliński z Przechowa. Dochodzenie trwa.

*

(—zet—) W lesie, należącym do maj. Borzęcinki, (Wlkp.) gajowy Jan Szymkowiak spotkał kłusownika z bronią w ręku.

Gdy na wezwanie gajowego do złożenia broni nieznajomy odpowiedział wymierzeniem jej do Szymkowiaka, gajowy dał do niego dwa strzały z dubeltówki, raniąc go w udo.

Kłusownikiem, który polował na bażanty, okazał się Marjan Burzyński z Koźmina. Rannego odwieziono do szpitala w Koźminie.

*

(—zet—) Właściciel maj. Kosów, gm. Kowel, p. Stanisław Nieciecki, podczas objazdu bryczką swego lasu posłyszał w pobliżu strzały.

Pomimo, że p. N. nie miał przy sobie żadnej broni i spotkanie z uzbrojonym kłusownikiem przedstawiało poważne ryzyko, pobiegł na odgłos strzałów i wkrótce natknął się na dwóch kłusujących osobników.

Jeden z kłusowników, ujrzawszy p. N. zbliska, skierował ku niemu pojedynkę, lecz nie wystrzelił, p. N. zaś zdołał raptownym ruchem uchwycić za broń i rozbroić grożącego, który natychmiast potem rzucił się wraz z towarzyszem do ucieczki.

Dochodzenie prowadzi policja.

*

(—zet—) Gajowy lasów zabłudowskich (woj. białostockie), Jan Korkus, napotkał w dniu 6 b. m. grasującego w jego rewirze kłusownika, Juljana Grzesia, ze wsi Sobole.

Na wezwanie do zatrzymania się i oddania broni, Grześ strzelił do gajowego, na szczęście chybiając, następnie począł uciekać.

Dzielny gajowy puścił się w pościg, dopędził kłusownika, odebrał mu dubeltówkę i złożył ją w posterunku pol. państw. w Michałowie.

Zadziwiającym jest fakt, że Grześ mimo meldunku o zajściu w lesie z gajowym nie został aresztowany.

(—zet—) Władze administracyjne zarządziły w lasach podwarszawskich energiczną walkę z kłusownictwem, które panoszyło się w okolicach stolicy coraz bardziej.

Starosta Sochaczewski nakazał przeprowadzenie licznych rewizyj, rezultatem których była w wielu wypadkach konfiskata nielegalnie posiadanej broni myśliwskiej.

Za posiadanie dubeltówek bez pozwolenia wymierzono kary po 2 miesiące aresztu bezwzględnego.

*

(—zet—) W lasach państwowych Wileńszczyzny zarządzono w okresie przedświątecznym obławy na kłusowników. Wynik obławy był nadspodziewanie dodatni, gdyż ujęto z bronią i nieprawnie upolowaną zwierzyną aż 25-ciu osobników.

We wszystkich wypadkach ujęcie kłusowników i skonfiskowanie broni odbyło się bez sprzeciwów z ich strony.

*

(—zet—) W lasach przylegających do wsi Kębłowo pow. morskiego znaleziono ciężko poranionego miejscowego leśniczego p. Preissa.

Jak wykazało badanie rannego, napadnięty on został pod czas obchodu rewiru przez nieznanych osobników, którzy zadali mu szereg ciosów.

Ranny przeleżał całą noc w lesie. Stan jego jest bardzo ciężki i istnieje mała nadzieja utrzymania go przy życiu.

Policja prowadzi energiczne dochodzenie i znajduje się na tropie zbrodniarzy, którzy prawdopodobnie należą do szajki kłusowników, mającej porachunki z leśniczym o prześladowanie ich procederu.

*

(—zet—) W maj. Pudliszki w Wielkopolsce ujęto kłusownika Wojciecha Dąbrowskiego, któremu odebrano f l o w e r.

W maj. Pijanowice, polowy Leon Schultz spotkał na kłusownictwie Franciszka Chudego z Żychlewa, któremu zabrał strzelbę.

*

(—zet—) Kłusownik Jan Antosik, gospodarz rolny ze wsi Łazy Duże gm. Łęczno (woj. łódzkie) chował swą nieprawnie posiadaną strzelbę w słomianej strzesze dachu, kolbą ku górze, a wylotem ku skrajowi poszycia.

Przed samym Nowym Rokiem, zamierzając widać udać się na polowanie, poszedł po strzelbę, która, będąc nabitą, wskutek zawadzenia kurkiem o słomę przy wydobywaniu jej przez Antosika, wypaliła prosto w piersi kłusownika, który legł bez życia.

*

(—zet—) W dniu 4 stycznia b. r. gajowy maj. Piotrowice, hr. Łosia, obchodząc rewir Bychawka, napotkał Czarneckiego Stanisława i Rosińskiego Stanisława z Bychawki podczas uprawiania kłusownictwa.

Podczas spotkania gajowy Tadeusz Woźniak, został zraniony przez kłusowników, którzy następnie uciekli. Napastnicy wykorzystali okoliczność, że Woźniak nie miał z sobą broni.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

BAŻANTY.

Polowanie na te złotopióre, czy złociste ptaki, szybujące w piękny słoneczny dzień jesienny, niezaprzeczenie zaliczyć należy do przyjemności niecodziennych.

A cóż dopiero, jeżeli takie polowanie ma miejsce u przemiłych i gościnnych gospodarzy. Same superlatywy cisną się tedy na usta, nie wyczerpując uczuć zaproszonych gości w stosunku do tych kochanych ludzi, którzy dają wszystko, poczynając od szczerego serca, miłego słowa, do ...obfitej zwierzyny włącznie.

Takiem było polowanie u państwa Wiesławostwa Żakowskich, w Łubnie, ziemi łęczyckiej.

Ubito tam w dniu 16 listopada ub. r. ca 400 bażantów, z czego najwięcej na pokot zdobył p. Stefan Wyganowski (62 sztuki), następny myśliwy (którego incognita przez wrodzoną skromność nie zdradzę) 50 szt. Reszta zwierzyny przypadła myśliwym wedle zdolności i forteli. Myśliwi bowiem to chytry strasznie naród. I tak dobrzy strzelcy — trafiają, gorsi ułaskawiają, ale są i forteliści. Naprzykład był taki, co stosował swój fortel, strzelając jedynie do piechurów bażancich, a nie do lotnych, inny zaś, stosując metody ultra - kapitalistyczne, przekupywał chłopców, znoszących mu bażanty, nie dalej jednak, niż z trzeciego stanowiska. Psuło to wprawdzie rachunek zwierzyny są siadom, ale za karę rujnowało finansowo nemroda, stosującego ten chytry fortel.

Ale to drobiazgi myśliwskie! Natomiast łowisko w Łubnie drobiazgiem nie jest. Znam je od długiego szeregu lat i tam, gdzie lat temu dziesiątek (może trochę więcej!), rosło sobie liche żytko, czy seradela na piaseczku — dzisiaj wyrósł piękny zagajnik po którym przechadza się tysiące bażantów złocistych, a zrzadka i srebrnych. Był także jeden nawet królewski, za drogie pieniądze kupiony, ale temperament poniósł kiedyś na polowaniu gospodarza (na szczęście) i pozbawił on bażanciego króla — długoogoniastego żywota.

Strzelać to rzecz oka i wprawy, stworzyć zaś łowisko świetne tak co do bażantów, jak zający i kuropatw, to zamiłowanie myśliwskie w najlepszym gatunku, połączone przytem nietylko z kosztami, ale i z osobistym trudem.

Czego się w Łubnie dla zwierzyny nie robi! Kopie się stawy, sieje się kukurydzę, łubin wieczny, jarmuż, słoneczniki, sadzi się bulwy, zadaje brukiew wozami, buduje się budki, chowa puhacza dla zwabiania jastrzębi, utrzymuje dobrą straż łowiecką, a nawet daje się celną pszenicę w dużych ilościach bażantom, co naraża poważnie gospodarza wobec poszkodowanej Pani domu, której kury otrzymują o zgrozo... poślad.

Niewątpliwie dobrze byłoby, by tacy myśliwi - hodowcy rodzili się na kamieniu! Wprawdzie w tej zacnej rodzinie takich kamieni nie potrzeba, potrafi ona bowiem, fluktuując normalnie, przekazywać cenne cnoty łowieckie na dalsze pokolenia. Dowodem tego niech będzie 11-letni Dzidek Żakowski, liczący w dniu 16 listopada coś 10 bażantów i 8-letni Andrzej, który mu ich zazdrościł.

Pozostaje mi jedynie życzyć polskiemu łowiectwu dużo takich myśliwych - hodowców i takich łowisk, a sobie... bym w takich łowiskach polował w miotach polnych, leśnych i w tych, w których rządzi przemiła Pani tego zacnego domu.

K. ROTKEL.

Dnia 7 i 8 stycznia r. b. polowano w Wieńcu u Leopolda bar. Kronenberga: pierwszego dnia w polu, drugiego w lesie, rezultat obu dni wyniósł: 973 sztuki (740 zajęcy, 190 bażantów 40 królików) polowało 12 strzelb, a mianowicie: pp. ambasador Cudahy, radca poselstwa belgijskiego Borel, pułkownik Godfrey, attaché militaire angielski, radca Aveling z ambasady angielskiej, radca Nielsen z ambasady amerykańskiej, p. Kennard syn ambasadora angielskiego, Karol bar. Ike-Duninowski, Aleksander Płoski, Jerzy Krzymuski, Henryk Krzymuski, Henryk bar. Maltzan i Stanisław Zieliński. Najwięcej zabił p. Aleksander Płoski 149 sztuk.

— Dnia 1 grudnia 1935 r. w Wace (Wil.) Jana hr. Tyszkiewicza ubito w 14 strzelb 3 lisy i 24 zające.

— Dnia 14 grudnia 1935 r. w Jachimowszczyźnie (Wil.) p. Karola Świętorzeckiego w 12 strzelb ubito 3 lisy i 122 (sto dwadzieścia dwa) zające. Najwięcej sztuk na rozkładzie miał p. Andrzej Węcławowicz z Galina: 1 lisa i 19 zajęcy. Należy nadmienić, że na poprzedniem gremjalnem polowaniu w Jachimowszczyźnie — w grudniu 1933 r. ubito 87 zajęcy.

Rezultat polowania w Jachimowszczyźnie jest, jak dotychczas, rekordem ilościowym jednodniowego polowania w wojew. wileńskiem. Dotąd rekord ten należał do p. Karola Erdmana z Annowila, gdzie w styczniu r. b. ubito 95 zajęcy. Zauważyć trzeba, iż łowisko w Jachimowszczyźnie przedstawia 12 dużych miotów zwartego, podszytego lasu. (Przyp. Red. „Trąbek").

— Dnia 14 grudnia 1935 r. w Landwarowie (Wil.) Eugenjusza hr. Tyszkiewicza w 9 strzelb ubito 3 lisy i 59 zajęcy. W roku ub. na tych samych terenach ubito 6 lisów i 39 zajęcy.

— Dnia 17 grudnia 1935 r. w Zatroczu Andrzeja hr. Tyszkiewicza w 10 strzelb ubito 46 zajęcy i 7 bażantów. W roku ub. polowania zbiorowego nie było. W r. 1933 ubito na tych samych terenach 1 lisa i 31 zajęcy.

— W dniach 3 i 4 grudnia ub. r. odbyło się w Zatorze polowanie, przy współudziale w pierwszym dniu 4-ch, oraz w drugim dniu 8-miu strzelb. Sumaryczny rozkład z obu dni polowania był następujący: 455 zajęcy, 387 bażantów, 107 kuropatw, 1 słonka, 2 różne, razem sztuk: 952. Kuropatwy były strzelane na zasadzie specjalnego zezwolenia, udzielonego przez wojewodę krakowskiego.

— Dnia 24.XII.1935 roku odbyło się u pp. M. Bonieckich w maj. Potworów (pow. radomski) polowanie wigilijne, w któreni udział wzięli: pp. Adam Grodziński, Adam hr. Łoś, Tadeusz Dobiecki i Andrzej Boniecki.

Wobec opolowania w 1934 r. głównego terenu łowieckiego, a niesprzyjających warunków dla lęgów zajęczych w 1935 r. (mróz w marcu i duże śniegi w maju), wzięto obecnie w ciągu 4-ch godzin tylko 4 mioty leśne i 3 kotły na dzierżawionych terenach włościańskich. Ubito 60 zajęcy i 1 lisa. Największy rozkład miał A. hr. Łoś — 23 szt.

— U pp. Aleksandrostwa Płoskich w Sokołowie i Studzieniu w roku 1935 odbyły się tylko małe polowania z powodu przypadającej w tym roku przerwy. Rezulat ich był następujący:

Dn. 11 września w Sokołowie polowano na kuropatwy. Rezultat 408 kur, 4 kaczki i 1 lis — udział w polowaniu brali pp. Artur Borzewski, Jan Karnkowski, Bogdan Chełmicki, St. hr. Sierakowski, Jan Donimirski, St. hr. Badeni i Tadeusz Gniazdowski. Najlepszy rozkład miał p. J. Donimirski — 75 sztuk.

Dn. 4 listopada polowano w cztery strzelby w Studzieniu z rezultatem 161 sztuk, w czem 83 zające, 50 bażantów, 13 królików i 15 kuropatw. Najwięcej zabił Henryk bar. Maltzan — 63 sztuki.

Dn. 27 listopada również w cztery strzelby, na dzierżawach, zabito 103 sztuki, w tem 56 bażantów, 27 królików, 15 kuropatw i 6 zajęcy.

Dn. 28.XI w Sokołowie polowano na bażanty, przy niesprzyjającej pogodzie. Podniesiono 402 sztuki, w czem 237 bażantów, 133 króliki, 17 kuropatw i 15 zajęcy. Polowali pp. Tadeusz Siemieński (75 sztuk), Artur i Zdzisław Borzewscy, Karol bar. Ike, Henryk bar. Maltzan, Jan Donimirski i Jan Karnkowski.

— W dniu 16.XII.35 odbyło się w Karnkowie u pp. Stanisława i Jana Karnkowskich polowanie na zające i bażanty w 12 strzelb. W trzech kotłach, dwóch ławach leśnych i dwóch pędzeniach zabito razem 735 sztuk, w czem 558 zajęcy i 157 bażantów. Najlepszy rezultat po 105 sztuk osiągnęli pp. Aleksander Płoski i Zdzisław Kiwerski.

— Dnia 5.XII. 35. odbyło się w Piaskach u pp. T. Karłowskich (Wlkp.) polowanie zimowe, którego rezultat w wysokim stopniu przekroczył dotychczas osiągane wyniki w tym doskonale pielęgnowanym rewirze.

W ośm strzelb opolowano teren około 700 ha, osiągając na rozkładzie 463 bażanty — koguty, 291 zajęcy, 32 króliki, różnych 1; Razem 787 sztuk. Zważywszy, że rewir ten posiada zaledwie 12 ha parku i zagajeń, rozkład bażantów uważać należy za doskonały.

Przy tej okazji stwierdzono również świetny stan kuropatw, do których nie strzelano.

— Dn. 23.XI.35 odbyło się polowanie w maj. Sobanice (pow. płockiego) wł. p. Kazimierza Dziewanowskiego. Przy udziale 11 myśliwych zabito 135 zajęcy, 42 bażanty i 6 kuropatw. Największy pokot zdobył p. Wacław Szamowski z Mchowa, zabijając 17 zajęcy i 6 bażantów.

— Dn. 7.XII.35 odbyło się polowanie w maj. Grodkowo (pow. płockiego), wł. p. Kazimierza Dziewanowskiego, gdzie przy udziale 14 myśliwych zabito 340 zajęcy, 26 kuropatw (za zezwoleniem województwa). Najwięcej ubił p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa, mając na rozkładzie 40 zajęcy i 2 kuropatwy.

— Dn. 7.IX.35 w maj. Grodkowo p. Kazimierza Dziewanowskiego w 13 strzelb zabito 335 kuropatw. Najwięcej zabił p. Tadeusz Sułowski z Warszawy, strąciwszy 37 sztuk.

— Dn. 28.XI.35 odbyło się polowanie w maj. Dzierżanowo (pow. płockiego) p. Stefana Mieczkowskiego; zabito 622 zające, 45 kuropatw, 17 bażantów. Największy rozkład osiągnął p. Stanisław Dziewanowski z Grodkowa — 43 szuki.

Dnia 30. 12. 1935 r. odbyło się polowanie w Gośłubiu u Henryka bar. Maltzana. W trzech katłach, czterech pędzeniach i jednej ławie zabito 1447 sztuk, w czem 725 zajęcy, 622 bażanty, 32 króliki, 65 kuropatw i 5 różnych. Kuropatwy strzelano za pozwoleniem województwa łódzkiego.

Ten rekordowy rezultat osiągnięto na terenie 1500-morgowym (760 ha). Największy pokot miał p. Aleksander Płoski — 192 sztuki, dalej według kolejności zabitej zwierzyny w polowaniu wzięli udział pp. Karol bar. Ike-Duminowski 158 sztuk, Kazimierz Wodziński 155 sztuk, Stanisław Grodzicki 152 sztuki, Antoni bar. Ike-Duninowski 141 sztuk, Stanisław Zieliński 132 sztuki Jan Karzkowski 103 sztuki, Stefan Wyganowski, Leopold bar. Kronenberg, Stefan i Andrzej baronowie Ike-Duninowscy i Stanisław Około-Kułak.

— Dn. 30.XI.35 odbyło się polowanie w maj. Pilichowo (pow. płockiego) p. Zygmunta Cichowskiego; zabito 320 zajęcy i 42 kuropatwy. Najwięcej ubił p. Antoni Czaplicki z Osieka, mając na rozkładzie 38 sztuk.

— Dn. 9.XII.35 w majątku Leksyn (pow. płockiego) p. Czesława Bejta, odbyło się polowanie przy udziale 12 myśliwych. Zabito 112 zajęcy, 18 kuropatw (z pozwoleniem województwa). Najwięcej zabił p. Stanisław Dziewanowski z Grodkowa.

— Dn. 14.XII.35 w maj. Majki (pow. płockiego) p. Jana Zakrzewskiego, odbyło się polowanie, gdzie zabito 260 zajęcy przy udziale 11 myśliwych. Największy pokot zapisał p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa.

— Dn. 19.XII.35 odbyło się polowanie w maj. Dębsk i Gilin (pow. płockiego) panów Gorzechowskich. Zabito 240 zajęcy. Najwięcej ubił p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa.

— Wykaz ubitej zwierzyny i drapieżników w dobrach Borki, pow. radzyńskiego, wł. Z. Jaźwińskiego — w 1935 roku.

Zwierzyna łowna:		Drapieżniki:	
		Lisów	9
Rogaczy	5	Wyder	2
Zajęcy	206	Psów	35
Bażantów	51	Kotów	33
Kuropatw	233	Jastrzębi	46
Kaczek	391	Czapli	14
Bekasów	32	Wron	218
Słonek	10	Srok	30
Cietrzewi	2	różnych	18
	930		407

Ogółem zabito zwierzyny łownej i drapieżników 1337 sztuk.

WYPADKI NA POLOWANIACH.

(—zet—) Donoszą z Krotoszyna (Pomorze), że właścicielka maj. Rzemichów, p. Krystyna Chełkowska, podczas przedświątecznego polowania z naganką w grudniu ub. r. spowodowała śmierć jednego z naganiaczy, Józefa Kurka, przez postrzał w plecy.

Okoliczności tego tragicznego wypadku pisma codzienne nie podają.

*

(—zet—) Na polowaniu na dziki w okolicach Stryja (Młpl.) zdarzył się wypadek, któremu uległ członek Zarządu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, dr. Rosinkiewicz, adwokat lwowski.

Jak podają pisma codzienne, wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, zbłąkana kula ugodziła dr. Rosinkiewicza w głowę, powodując strzaskanie kości ciemieniowej, lecz nie naruszając błony mózgowej.

Rannego odwieziono natychmiast do szpitala powszechnego w Stryju.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 1 „Łowca Polskiego" zamieszczony został skład osobowy wszystkich Komisyj i Sekcyj Związku.

W łączności z tem prostujemy omyłkę, jaka się wkradła przy podawaniu składu osobowego Sekcji Strzelań Myśliwskich przy P. Z. S. Ł.

Imię przewodniczącego Sekcji p. Regulskiego jest J a n u s z, a nie, jak mylnie wydrukowano, Stefan.

TREŚĆ NUMERU:

Mikołaj Hussowjan, piewca żubra — *J. Stanisławski*. O języku myśliwskim i „bardzo kulturalnych" myśliwych — *S. Hoppe*. Pogawędka o królu — *A. Starzeński*. Na mróz porzebne jest futro rysie — *J. Tyszkiewicz*. Pierwszy śnieg, pierwszy lis — *J. Szaniawski*. Z żałobnej karty.

Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich: komunikat w sprawie legitymacyj członkowskich na 1936 r.; konferencja w sprawie terminów ochronnych; protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dn. 8 stycznia 1936 r. Przegląd wydawnictw. Dobre i złe. Z prasy zagranicznej. Hybrydy bażanta z kurami domowemi. Kłusownictwo. Kronika myśliwska. Wypadki na polowaniach. Sprostowanie.

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA są do nabycia w administracji i z ustępstwem 15% rabatu dla prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO“:

1. **Bażant łowny** — C. Cronau . . . zł. 3.—
2. **Choroby zwierzyny łownej** — Inż. Leona Ossowskiego . . . . zł. 2.—
3. **Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie** H. Downar-Zapolskiego . . . . zł. 2.—
4. **Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra** d-ra K. Wróblewskiego zł. 4.60
5. **Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju** — F. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtla zł. 2.—
6. **Estetyka łowiectwa** — Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 2.—
7. **Sw. Eustachy** — Wł. Janty-Połczyńskiego . zł. 3.—
8. **Głuszec** — Monografja Bolesława Swiętorzeckiego zł. 2.40
9. **Hodowca a myśliwy** Ernestra hr. Sylva Tarouca zł. 3.—
10. **Hodowla bażantów** — dyr. Henryka Kemmera zł. 3.—
11. **Humor i łacina myśliwska** J. Wł. Kobylańskiego zł. 1.50
12. **Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie**—J. Wł. Kobylańskiego zł. 3.—
13. **Jak unikać wypadków z bronią** — J. Sztolcmana . . . . zł. 0.25
14 **Jarząbek**—Monografja Ottona Pereświet-Sołtana zł. 1.—
15. **Kalendarz Myśliwski**—na 1931, 1932 i 1933 rok po zł. 2.—
16. **Kalendarz Myśliwski** — na 1934 rok wyczerpany
17. **Kalendarz Myśliwski na rok 1935** . . zł. 3.—
18. **Karczma pod wilkiem**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 1.50
19. **Krajobrazy i polowania w Polsce** — Pierre Coche'a . . . . zł. 6.50
20. **Krótki praktyczny podręcznik tresury psa myśliwskiego** — K. Zarubina . . . zł. 2.—
21. **Kruk** — Monografja K. hr. Wodzickiego . . zł. 4.50
22. **Lis** — Monografja Jerzego Dylewskiego . . zł. 3.—
23. **Myślistwo z ogary** — Jana hr. Ostroroga . zł. 1.50
24. **Myślistwo w Panu Tadeuszu** — M. Mniszka Tchorznickiego . . . . zł. 0.30
25. **Myślistwo Wschodnie** — Księga pamiątkowa łowiectwa wschodniego . . . . zł. 5.—
26. **Nad Nilem niebieskim** — Jana Sztolcmana zł. 6.—
27. **Nasze psy** — St. Błockiego (bez rabatu) . zł. 7.—
28. **Nasze skrzydlate drapieżniki**— Monografja Wł. Gürtlera . . . . zł. 2.30
29. **Ocena trofeów myśliwskich** — Inż. H. Knothego . . . . zł. 0.30
20. **Określanie wieku sarn.** Inż. L. Ossowskiego zł. 0.40
31 **O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie** — J. Wł. Kobylańskiego. . . . zł. 1.50
32. **O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie Katowicach Krakowie i Lesznie** — J. Wł. Kobylańskiego . . . . zł. 1.—
33. **O łosiu**—J. Wł. Kobylańskiego. . . . zł. 2.—
34. **Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt** — d-ra Wł. Polińskiego — zeszyt I — 1.40, zeszyt II—zł. 2.50, zeszyt III—zł. 1.20 zeszyt IV—zł. 0.50, zeszyt V—zł. 1.—, zeszyt VI—zł. 2.— zeszyt VII—zł. 2.— . . . komplet zł. 10.60
35. **Podstawy łowiectwa** — B. Świętorzeckiego zł. 8.—
36. **Przepisy: O broni, amunicji i materjałach wybuchowych; łowieckie**—H. Maletza zł. 2.50
37. **Polująca pani**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.50
38. **Posokowce** — Inż. Leona Ossowskiego zł. 1.—
39. **Ramoty myśliwskie** Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
40. **Skowronek**—K. hr. Wodzickiego . . zł. 3.60
41. **Tablice ścienne** do określania ptaków drapieżnychi krukowatych — J. Sztolcmana . . . zł. 0.50
42. **Szczęśliwe dni.** Stefana hr. Badeniego (bez rab.)zł. 18.—
43. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku**—Inż. T. Śliwińskiego zł. 1.—
44. **Wabienie wilków**—Ottona Pereświet.-Sołtana zł. 0.75
45. **W polu w lesie**—Wł. Gürtlera . . zł. 1.—
46. **W stepach i puszczach** Wł. Czerniejewskiego zł. 1.—
47. **Wycenianie trofeów myśliwskich** A. Dyk'a . . . zł. 1.50
48. **Z psami**—St. Z. . . . . zł. 1.—
49. **Żubr.** Historja, obycz. i przyszłość—J. Sztolcmana zł. 3.30
50. **Żywienie jeleni i sarn** d-ra Maxa Neumeistera zł. 1.20

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) dolicza się zł. 1.—
Za zaliczeniem pocztowem — najmniejsza dopłata zł. 1.50

„MYŚLISTWO WSCHODNIE“

Księga pamiątkowa łowiectwa wschodniego,

wydawnictwo bogato ilustrowane, zawierające kilkanaście literackich i fachowych prac znanych autorów łowieckich i myśliwych kresowych.

Cena zł. 5.— **Z przesyłką pocztową zł. 5.50.**

Do nabycia w Towarzystwie Łowieckiem Ziem Wschodnich, Wilno, Mickiewicza 11, oraz w Administracji „Łowca Polskiego“, Warszawa, Nowy Świat 35.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł — 1 zł
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.